



BIBLIOTEKA
KSIĄŻEK
„NIEPOPRAWNYCH
POLITYCZNIE”

Jerzy Robert Nowak



**CZERWONE
DYNASTIE**

Wydawnictwo



WSTĘP

Tak zmieniać, aby nic nie zmienić! – to było faktycznie główną zasadą „przemian” realizowanych po 1989 roku, „przemian”, które okazały się tak wielkim oszustwem wobec Narodu. Gdy trzon władzy politycznej, gospodarczej i medialnej przetrwał nadal w rękach tych samych spowinowaconych ze sobą koterii i rodzin, częściowo tylko przebarbowanych na odcienie liberalno-lewicowe. Jesteśmy nadal ściśle oplecieni pajęczyną po-PRL-owskich układów i powiązań. Najbardziej nawet skompromitowani, przyłapani na złodziejstwie czy działaniach agenturalnych spadają na cztery nogi. Zawsze znajdują obrońców i protektorów. **W dzisiejszej Polsce źle jest tylko, gdy się jest uczciwym, odważnym, niepokornym...** Tak zabija się ostatnie nadzieje i popycha Polskę na drogę ku katastrofie, ku drugiej Argentynie. Jeśli tego jak najszybciej radykalnie, gwałtownie nie zmienimy, Polska ostatecznie upadnie. Nie ma bowiem miejsca na tej ziemi dla narodów bezbronnych, zakompleksionych, dających się wciąż oszukiwać, pozbawionych instynktu samozachowawczego i poczucia godności.

Chciałbym, by ten tomik wstrząsnął sumieniami, by pokazał jak bardzo pozorowane i oszukańcze były tak szumnie deklarowane przemiany po 1989 roku. Chciałbym pokazać, jak bardzo kastowy charakter ma dzisiejsza Polska, jak wielu ludzi „trzymających władzę”, i to nie tylko w polityce, ale również i w mediach (a to media są dziś „pierwszą władzą”), to ludzie wywodzący się ze starych skompromitowanych kręgów komunistycznych, często najgorszego stalinowskiego chowu. Wielka część z nich to ludzie, których ojcowie zaprawiali się do zdrady narodu przez dziesięciolecia, tak jak ojciec marszałka Sejmu M. Borowskiego czy ojciec „nadprezydenta” A. Michnika, już w czasach międzywojennych. To ludzie, którym zabrakło w domu jakiegokolwiek wychowania w ideach drogich przeważającej części Narodu, wśród którego żyją, od wiary do patriotyzmu i poczucia dziedziczenia narodowej historii.

Stąd te pytania, które stawiam wielokrotnie na łamach tego tomiku, zastanawiając się, jak miał się uczyć patriotyzmu np. Jerzy Wiatr (od ojca-agenta gestapo), Cimoszewicz (od ojca – oficera stalinowskiej informacji) czy Dawid Warszawski (od ojca – agenta NKWD. Porównuję drogi licznych wpływowych ludzi i ich rodziców czy całych familii, zastanawiając się nad wyniesionymi przez nich z domów rodzinnych przesłaniami, które spaczyły ich wychowanie. Znać rodowody, to wiele zrozumieć. Na przykład zrozumieć lewicową tendencyjność Moniki Olejnik, córki pułkownika MSW, czy uprzedzenia do Kościoła katolickiego ze strony wychowanego w ateistycznym środowisku Jerzego Owsiaka, syna wysoko postawionego partyjnego milicjanta.

W tomiku tym pragnę pokazać rozmiary opanowania władzy w Polsce przez synów, zięciów czy bratanków PRL-owskich bonzów. Pokazać, w jak wielkim stopniu mamy dziedziczenie „pseudoelit”. Jak dawne rządzące siły PRL-owskie „elity władzy” zostały zastąpione przez ich dzieci. I pokazać, jak ci dziedzice władzy ukształtowali „próżniaczą klasę polityczną”, opartą na ograniczonym tylko

do nich, do ich układów systemie awansów i karier. Ludzie spoza układów, z tzw. terenu, mają mikroskopijne wręcz szanse przebicia się wyżej, choćby byli najbardziej utalentowani. Mogą tylko kołatać do zamkniętych drzwi, snuć się sfrustrowani po kolejnych urzędach pracy w nikczemnym świecie protekcji i układów. Bez przesady można powiedzieć, że dzisiaj szanse awansu jakiegokolwiek awansu społecznego człowieka z „prowincji”, a tym bardziej z ubogiej rodziny, są dużo gorsze niż kiedykolwiek przedtem w ciągu ostatnich stu lat polskiej historii. Obserwowałem ze smutkiem losy jakże wielu młodych utalentowanych absolwentów „z terenu”, skazanych na rozpaczliwe poszukiwanie jakiegokolwiek pracy, nieraz latami. Bo wszystko jest zarezerwowane dla „elitki” z „warszawki” czy „krakówka”. Bo taki np. młody Paweł Wujec, syn prominentnego działacza Unii Wolności Henryka Wujca i działaczki tejże Unii Ludmiły Wujec już jako bardzo młody człowiek, w początkach swoich studiów **musiał** zdobyć pracę dziennikarską w „Gazecie Wyborczej”. – *Bo ja cały jestem mamy, jej telefon otwiera mi drzwi* – jak śpiewano w piosence dawnego STS-u. A Ludmiła Wujec była uważaną za najbardziej wpływową działaczkę Unii Wolności!

Pisząc o czerwonych dynastiach piszę nie tylko o tych, którzy pozostali wierni ideologii komunistycznej wyznawanej przez ich ojców tak jak Borowski czy Cimoszewicz. Piszę również i o tych, którzy także i po wejściu do lewicowej laickiej opozycji pozostali wierni starym uprzedzeniom ich komunistycznych ojców do polskości czy Kościoła. Tych byłych lewicowych opozycjonistach, którzy bardzo boją się dekomunizacji, bo mogłaby odłonić pełną „hańbę domową” ich rodzin. Czyż nie głównie taki właśnie strach łączył Adama Michnika, brata mordercy sądowego Stefana Michnika, z generałem Wojciechem Jaruzelskim, dążącym do zatarcia własnych jakże ciężkich win, od grudnia 1970 r. na Wybrzeżu, po pacyfikację kopalni „Wujek”. Tak zawiązywały się w ostatnich kilkunastu latach szokujące sojusze postkomunistów z lewicowymi liberałami z rodzin o komunistycznych rodowodach. Sojusze, które zniszczyły szanse prawdziwych zmian w Polsce i popchnęły nas na drogę ku katastrofie.

Dziedziczenie obecnych „elit” to również trwałe dziedziczenie biedy. To dalsze pograżanie Polski w marazmie, który nam zafundowały egoistyczne, obce polskim interesom narodowym, nieudolne pseudoelity. To dalsza blokada jakiegokolwiek szans ludzi prawdziwie zdolnych spoza układów. Najwyższy czas, by przepędzić pseudoelity, które zaprzepaściły po 1989 roku tak wiele szans dla Polski! Czas je przepędzić i wyrzucić na margines polskiego życia publicznego. Nie ważne, czy zaszkoziły Polsce przez otwartą zdradę i służalczość wobec obcych, pazerność i złodziejstwo, czy „tylko” przez egoizm, cynizm lub żalodne niedołęstwo. Zaszkoziły Polsce i Polakom i muszą, muszą jak najszybciej odejść! Ci, jakże liczni z nas, którzy jeszcze wierzą w polskie idee, w szanse na odbudowę Polski, **muszą zrobić wszystko dla wyłonienia nowych silnych narodowych elit**, które nie dadzą połknąć Polski i odzyskają to, co zagrabiono Narodowi. Oby ten tomik przyspieszył te działania, to narodowe przebudzenie! Oby jak najsilniej wsparł tworzenie Polski naszych snów i marzeń. Prawdziwej Polski nadziei, bez agentów i złodziei!

I. *Dynastie w polityce*

BOROWSKI, SYN WYSOKIEGO FUNKCJONARIUSZA Z ANTYPOLSKIEJ KPP

Przewodzący buntowi wewnątrz SLD przeciwko Millerowi marszałek Sejmu Marek Borowski jest synem wysokiej rangi komunistycznego działacza o bardzo szkodliwej antypolskiej przeszłości. Jego ojciec Wiktor Borowski (właśc. Aron Berman) był w czasach II Rzeczypospolitej trzykrotnie skazywany na więzienie za działalność wymierzoną w interesy Polski. Zaszedł bardzo wysoko w strukturach KPP – partii zdrady narodowej, stając się członkiem sekretariatu jej władz. Został nawet pracownikiem przedstawicielstwa KPP przy Komitecie Wykonawczym Międzynarodówki Komunistycznej w Moskwie. Można więc powiedzieć, że stał się prawdziwą szychą wśród agentury sowieckiej na Polskę.

Po wojnie ojciec Borowskiego należał do najgorszych stalinizatorów polskiej prasy jako redaktor naczelny „Życia Warszawy”, a od 1951 r. zastępca redaktora naczelnego głównego dziennika komunistycznego „Trybuny Ludu”. Jego wpływy w dobie stalinowskiej powiększał fakt, że był spokrewniony z głównym zarządcą okrutnej bezpieki – Jakubem Bermanem, członkiem Biura Politycznego KC PPR, a potem PZPR, najbardziej wpływowym członkiem triumwiratu rządzącego Polską na przełomie lat 40. i 50. Młody Borowski próbuje dziś maksymalnie pomniejszać znaczenie tych bliskich związków rodzinnych z Jakubem Bermanem. Zapytany przez redakcję „Życia Warszawy”, czy łączy go pokrewieństwo ze stalinowskim szefem bezpieczeństwa, odpowiedział: - *Nie wiem, ale jeśli nawet, to czy to, że byłbym odlegle spokrewniony z jakimś oprawcą, ma mieć jakieś znaczenie?* W rzeczywistości te rodowody i pokrewieństwa mają aż nadto wiele znaczenia także dziś, odbijając się w postawach SLD tak mocno blokującego różne formy rozliczenia ze zbrodniami komunizmu i „wielkodusznie” zabiegającego o utrzymanie uprzywilejowanych emerytur dla stalinowskich sędziów prokuratorów (*vide: casus S. Morela czy H. Wolińskiej*).

Młody Marek Borowski był – według „Wprost” – bardzo mocno związany duchowo ze swym ojcem – stalinowcem. Polityk Unii Wolności Jan Lityński, który chodził z nim do jednej klasy (w sławetnym liceum dla młodzieży bananowej im. Klimenta Gottwalda) wspominał, że M. Borowski już wtedy *był ideowym wyznawcą komunizmu*. Młody Borowski wcześniej zaprzyjaźnił się z innym synem komunistycznego działacza – Adamem Michnikiem w 1962 r. wstępując do założonego przez Michnika międzyszkolnego Klubu Poszukiwaczy Sprzecznosci. W 1967 r. zostaje członkiem PZPR. W 1967 r., wraz ze „szczyszczaniem” przez moczarowców działaczy z partyjnego lobby żydow-

skiego tzw. puławian, ojciec Borowskiego traci piastowaną od 1951 r. funkcję zastępcy naczelnego „Trybuny Ludu”. To jeszcze bardziej popycha związane go z michnikowcami Borowskiego do opozycyjnego ruchu studenckiego w 1968 r.; odgrywa w nim aktywną rolę. Zostaje wyrzucony z PZPR, co ogromnie przeżywa; jest wręcz zdruzgotany. Pozostał jednak – jak wspominał – nadal wierny wartościom komunistycznym. Pozostał członkiem ZMS-u i dalej studiował na SGPiS-ie. Po ukończeniu studiów zaczął pracować w Domach Towarowych „Centrum”, gdzie został przewodniczącym ZMS. Już po kilku latach – w 1973 r. wysłano go na staż do francuskich domów towarowych.

Powrócił do PZPR w 1975 r., w dość szczególnym roku, w którym proponowano do konstytucji wpis o wiecznej przyjaźni z ZSRR. Jak pisze w „Życiu” z 3 listopada 2001 r. Joanna Bichniewicz: *Wprowadzenie stanu wojennego przyjął niemal z ulgą. – „To było racjonalne i słuszne rozwiązanie” – mówił zarówno wtedy, jak i dziś.* Ciekawe, że akurat w dobie stanu wojennego zaczyna się nagły skok jego kariery – zatrudnienie w Ministerstwie Rynku Wewnętrznego. Znalazł jakichś dobrych protektorów. Był to szczególnie dobry czas dla awansów towarzyszy żydowskiego pochodzenia. Jak stwierdzał żydowski publicysta Abel Kainer (Stanisław Krajewski) na łamach podziemnej KOR-owskiej „Krytyki”, nr 15 z 1983 r. *WRON grała rolę bardziej opiekunki Żydów.* Znany izraelski naukowiec profesor Chone Shmeruk mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” z 19 kwietnia 1995 r., że: *- Władze PRL w latach 80. też popierały sprawy żydowskie. Było wtedy takie powiedzonko: „Co się nosi w Polsce? Żydów na rękach (...).*

Red. Bichniewicz przytacza w kontekście ówczesnego awansu Borowskiego wypowiedź jednego z członków SLD i długoletniego działacza PZPR: *- Musiał go ktoś dobrze pilotować. Nie było takich cudów, by ktoś, ot tak, wypatrzył młodego zdolnego w domach „Centrum” i zapragnął go mieć w ministerstwie. Nie w tamtym systemie.* Być może o awansie Borowskiego zdecydowały wcale nie znajomości rodzinne i nowa filosemicka moda czasów Jaruzelskiego, lecz jego własne kontakty. Były przewodniczący Klubu Parlamentarnego KPN Krzysztof Król zapewniał, że *Borowski prowadził w DT „Centrum” sklepik za tzw. złotymi firankami, czyli dla KC i uprzywilejowanych członków partii* (według tekstu A. Gargas w „Gazecie Polskiej” z 5 stycznia 1995 r.). Sprzyjało to poznaniu „odpowiednich” protektorów.

Za rządów T. Mazowieckiego Borowski awansował na podsekretarza stanu w Ministerstwie Rynku Wewnętrznego, gdzie odpowiadał za rynek artykułów konsumpcyjnych i nadzorował prywatyzację handlu i turystyki. Anita Gargas, pisząc w „Gazecie Polskiej” o tym okresie kariery Borowskiego przypominała: *To w tym okresie doszła do skutku afera alkoholowa, za co miał odpowiadać przed Trybunałem Stanu przetożony Borowski.*

W 1993 r. został wicepremierem i ministrem finansów w rządzie pierwszej koalicji SLD i PSL. Jako szef resortu finansów odpowiadał m.in. za fatalnie, z różnymi nieprawidłowościami, przeprowadzoną prywatyzację Banku Śląskiego. Wybuchł prawdziwy skandal wokół całej sprawy, w niemałej mierze dzięki nagłośnieniu jej przez ówczesnego posła PSL, przewodniczącego

Komisji Przekształceń Własnościowych Bogdana Pęka. Premier W. Pawlak zdecydował się na odwołanie wiceministra finansów Stefana Kawalca, który bezpośrednio odpowiadał za przekształcenia Banku Śląskiego. Borowski postanowił postawić się premierowi Pawlakowi i wymusić na nim cofnięcie dymisji Kawalca. Złożył swoją dymisję ze stanowisk rządowych i bezskutecznie próbował namówić innych postkomunistycznych ministrów do zbiorowego odejścia z rządu. Bluff Borowskiego zawiódł. Premier przyjął dymisję Borowskiego, który wyraźnie przegrał całą sprawę. Zemścił się wkrótce na posła B. Pęku, doprowadzając do jego odwołania z przewodnictwa Komisji Sejmowej.

Jako polityk SLD-owski należy do nurtu „czerwonych liberałów” w gospodarce. Ma wyraźne uprzedzenia wobec Kościoła. Należał do tych posłów SLD, którzy wykazywali wręcz „ośli upór” w przeciwstawianiu się ratyfikacji konkordatu. Można przewidywać, że będzie oddziaływał na założoną przez siebie partię w duchu polityki antykościelnej. Po wygranej SLD w 2001 r. Borowski awansował najwyżej – został marszałkiem Sejmu. Na tej funkcji „wslawił się” m.in. brutalną decyzją o usunięciu nocą przez Straż Marszałkowską posła Gabriela Janowskiego, okupującego trybunę z żądaniem debaty o prywatyzacji STOEN-u. Następnego dnia liczni posłowie opozycyjni powitali za to Borowskiego krzykami: „Hańba” i „Łukaszenko”!

Borowski odegrał szczególnie dużą rolę w niedawnych działaniach opozycji SLD-owskiej, zmierzającej do obalenia rządu Millera i stworzenia nowej partii Socjaldemokracja Polska. Wielu widzi w powstaniu tej partii drogę do powstania tak wymarzonej przez Kwaśniewskiego i Michnika wspólnej formacji i tworzącej wreszcie historyczny sojusz byłych komunistów i byłych opozycjonistów z lewicowej opozycji laickiej, głównie też komunistycznego chowu. Widać już teraz bardzo duże zainteresowanie nową partią ze strony liderów bardzo osłabionej w ostatnich latach Unii Wolności. Warto przypomnieć, że Borowski od początków powstania SdRP, faktycznie od jej zjazdu założycielskiego, należał do ludzi związanych z Aleksandrem Kwaśniewskim. W ostatnim roku między postkomunistycznym prezydentem RP a premierem Millerem bardzo mocno się iskrzyło. Nie było więc chyba przypadkiem, że Borowskiemu przypadła rola autora decydującego ciosu w Millera. Niektórzy widzą w tym, co się stało w rezultacie buntu M. Borowskiego, kolejne odnowienie starego sporu dwóch frakcji w łonie partii komunistycznej: „Żydów” i „chamów”! Stare przyjaźnie Borowskiego z Michnikiem, Lityńskim i innymi przedmarcowymi „komandosami” z prominentnych rodzin żydowskich mogą teraz szczególnie silnie procentować w łączeniu „braci rozdzielonych” z SLD i UW!

SPUŚCIZNA STALINOWSKIEGO POLITRUKA J. WIATRA

Sławomir Wiatr był odpowiedzialny za niezwykle kłamliwą prounijną kampanię informacyjną. Starannie „usypiał” Polaków co do zagrożeń dla

polskich interesów narodowych wynikających z fatalnie wynegocjowanych warunków wejścia Polski do UE. Zapytajmy jednak, od kogo ten były sekretarz KC PZPR miał się uczyć poczucia potrzeby obrony polskich interesów? Od kogóż miał się uczyć prawdziwego polskiego patriotyzmu? Wątpię, czy mógłby tego uczyć się od swego ojca Jerzego Wiatra, w połowie lat 90. SLD-owskiego ministra edukacji, a w dobie stalinowskiej politruka niegodnie wysławiającego Józefa Stalina, ludobójcę odpowiedzialnego za śmierć setek tysięcy Polaków. W wydanej w 1953 r. propagandowej pracy „Obiektywny charakter praw przyrody i społeczeństwa w świetle pracy J.W. Stalina *Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR*” J. Wiatr do spółki z innym fałszerzem, Z. Baumanem, wychwalał już na pierwszej stronie tekstu „ostatnią pracę Towarzystwa Stalina” jako *potężną dźwignię rozwoju wszystkich nauk, które z bezcennej skarbnicy stalinowskiej filozofii czerpią i czerpać będą*. Obaj stalinowscy propagandyści wysławiali pod niebiosą „nieśmiertelne” wskazania Józefa Stalina, a zarazem chwalili kierownictwo PZPR za zdemaskowanie w porę „klikli odchyleńców prawicowych”, Gorzko, a donośnie, oplakiwał J. Wiatr śmierć Stalina, pisząc na łamach „Po Prostu” 1953 r.: *Dziś, gdy zabrakło wśród nas największego Człowieka naszej epoki, Jego dzieła są nam jeszcze droższe i cenniejsze. Stają się one w coraz większym stopniu busolą kierującą naszą pracą. Dzięki Stalinowi żyjemy w pięknej epoce*.

Minęło 13 lat od tego „wiekopomnego tekstu”, a wierny komunistycznemu reżimowi J. Wiatr zalecał w poradniku dla nauczycieli „Ideologia i wychowanie” (z 1965 r.): *Przestrzeganie internacjonalizmu ruchu socjalistycznego, a w obliczu zagrożenia ze strony imperializmu kapitalistycznego przestrzeganie solidarności z udzielaniem sobie wzajemnej pomocy – w razie potrzeby – również zbrojnej*. Nieprzypadkowo więc później tak chętnie usprawiedliwiał wojnę Jaruzelskiego przeciwko swemu Narodowi – stan wojenny, a nawet przyrównywał Jaruzelskiego do Piłsudskiego i Sikorskiego. Doszło nawet do tego, że publicznie domagał się w gazetach, by *tępić tych, którzy ciągną nas do tyłu na drodze reform*, czyli ludzi „Solidarności” (!) (według „Gazety Wyborczej” z 1-2 czerwca 1996 r.).

Na tym tle tym ciekawszy wydaje się barwny incydent z jakże znamiennej konfrontacji J. Wiatra w połowie lat 90. z byłym twarogłowym członkiem Biura Politycznego KC PZPR generałem Mirosławem Milewskim. Jak pisano na ten temat w „Życiu Warszawy” z 12 lutego 1996 r.: – *Kogo w PZPR uważali Rosjanie w 1981 r. za swoich wypróbowanych przyjaciół? – dopytywał się kilka miesięcy temu generała Mirosława Milewskiego szef sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, poseł SLD Jerzy Wiatr. – Na przykład pana – odpowiedział były szef MSW, symbol PRL-owskich służb specjalnych, powiązanych z ZSRR. – No, ja nie byłem tak ważną postacią – spłoszył się Wiatr*.

Jako SLD-owski minister edukacji od lutego 1996 r. Wiatr wyraźnie próbował dyskryminować religię w szkołach, wywołując tym protesty Episkopatu, nauczycielskiej „Solidarności” i rodziców. Protestowano też przeciwko powołaniu przez Wiatra jako eksperta dla swego resortu seksuologa Z.L. Starowicza. Wiatr wywołał wówczas powszechne oburzenie deklarując, iż rodzice nie

mają prawa decydować o tym, jaki program będą realizowali nauczyciele. Doszło do szeregu demonstracji studentów i nauczycieli przeciwko Wiatrowi jako urzędującemu ministrowi, a nawet do obrzucenia go jajami podczas wizyty na UJ. Wiatr posunął się do nazwania swych oponentów faszystami! (zob. tekst M. Zdorta i M. Janowskiego w „Rzeczpospolitej” z 29 sierpnia 1996 r.). Prezydent Kwaśniewski pospieszył za to z uhonorowaniem J. Wiatra Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Nie wyjaśniono jednak, co wspólnego z odradzaniem Polski miała rola J. Wiatra jako stalinowskiego politruka i ideologa PZPR.

SYN AGENTA GESTAPO

Zapytajmy z kolei, czy ojciec Sławomira Wiatra – Jerzy Wiatr miał od kogo uczyć się patriotyzmu? Dziś wiadomo, że ojciec Jerzego Wiatra – inspektor szkolny Wilhelm Wiatr został zastrzelony za zdradę na rzecz gestapo z rozkazu zastępcy szefa „Kedywu” Okręgu Warszawskiego AK Józefa Rybickiego. Oto, co pisał w tej sprawie m.in. publicysta „Gazety Wyborczej” (nr z 1-2 czerwca 1996 r.) Jacek Hugo Bader: *Jurek Wiatr w czasie wojny stracił po kolei ojca, Boga, matkę i wiarę w rząd polski. To było 22 maja 1943 r. wieczorem. Ktoś zapukał do drzwi. Otworzył ojciec. Przeszli do pokoju. Po chwili padły trzy strzały. Pierwszy ubiegł Jurek. Ojciec leżał na podłodze, obok kartka, że wyrok wykonano w imieniu Polski Podziemnej (...). W 1988 r. kapitan Stanisław Sosabowski „Stasinek” opublikował swoje wspomnienia. Rozkaz wykonania wyroku na inspektorze szkolnym Wiatrze otrzymał od dowódcy „Kedywu” Okręgu Warszawskiego AK płk. Józefa Rybickiego „Andrzeja”. Niemcy zmusili inspektora do wydania spisu nauczycieli, którzy byli oficerami rezerwy. Wielu z nich trafiło potem do Oświęcimia. „Stasinek”, który znał inspektora od dziecka, relacjonuje: „Pokazałem jednemu z moich ludzi, gdzie mieszka inspektor. Zapukał do drzwi jako inkasent elektrowni”.*

Jerzy Wiatr w rozmowie z redaktorem „Wyborczej” zaprzeczał temu, że władze podziemne wydały wyrok na jego ojca. Twierdził, iż był przekonany, że „ojca zabili bandyci” (według „Gazety Wyborczej” z 1-2 czerwca 1996 r.). W numerze z 6-7 lipca 1996 r. „Gazeta Wyborcza” opublikowała jednak rozstrzygający całą sprawę w decydujący sposób list córki zastępcy szefa „Kedywu” Okręg AK Warszawa Józefa Rybickiego – Hanny Rybickiej. Pisała ona m.in.: (...) *przedstawiam poniżej stan sprawy w świetle dokumentów zachowanych w Archiwum Akt Nowych i Wojskowego Instytutu Historycznego. Wspomniane dokumenty wskazują, że wyrok na p. Wilhelmie Wiatrze został wykonany w ramach akcji „C” (czyszczenie), zarządzonej decyzją Komendy Głównej AK. Jej celem było jednoczesne zdecydowane uderzenie w sieci agenturalne policji niemieckiej* (podkr. – J.R.N.). H. Rybicka powołała się przy tym na książkę Tomasza Strzembosza „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939-1944”, wyd. PIW 1978, s. 223-224). Powołała się również na przekazane wiosną 1943 r. szefowi „Kedywu” KG AK płk. Emilowi Fieldorfowi ps. „Nil” pismo szefa Kontrywiadu KG AK Bernarda Zakrzewskiego, wymienia-

jące wśród osób, które miały przekazane do likwidacji na 26 miejscu nazwisko podinspektora szkolnego w Warszawie Wilhelma Wiatra. Wspomnianą listę plk Fieldorf przekazał 5 maja 1943 r. Komendantowi Okręgu AK Warszawa płk. Antoniemu Chruścielowi „Madejowi” z adnotacją: *Przesyłam listę agentów gestapo do jak najszerszego wykorzystania w ramach akcji „C”*. Według Rybickiej: *W niedatowanym sprawozdaniu Komendy Okręgu AK Warszawa czytamy: „Melduję wyniki z akcji „C” według listy otrzymanej z Kedywu. (...) 1... 2... 4. Wiatr Wilhelm dn. 22 V g. 18.30*. W ten sposób córka zastępcy szefa „Kedywu” Okręg Warszawa – Hanna Rybicka udowodniła fałsz twierdzeń J. Wiatra na temat powodów śmierci jego ojca, agenta gestapo.

KARIERA MŁODEGO WIATRA

Powróćmy jednak do potomka opisanych powyżej postaci, dziś najbardziej „wslawionego” z klanu Wiatrów – Sławomira.

Sławomir Wiatr już od dzieciństwa uczulony był na przejawy „polskiego antysemityzmu”. W rozmowie z redaktorem „Gazety Wyborczej” uskarżał się: *Z polskim antysemityzmem zetknąłem się przed r. 1968, w warunkach piaskownicy. Byłem trochę poniewierany, tak wyglądało moje dzieciństwo na warszawskiej Starówce i pierwszy etap uświadczenia sobie żydowskiego pochodzenia.*

Od wczesnej młodości wraz z rodziną bardzo wiele czasu spędzał w Wiedniu. Przyszły agent PRL-owskiego wywiadu mógł w Wiedniu bardzo wiele się nauczyć. – *Wiedeń jest wtedy światową stolicą szpiegów. Roi się w niej od przedstawicieli komunistycznych partii i dawnych partyzantek, a także rezydentów wywiadów państw demokracji ludowej. Wszyscy żyli w braterskiej komitywie. Bywali u siebie i biestadowali. Moja lewicowość wyrastała tam, nie w Polsce – mówi Sławomir Wiatr (według tekstu J. Hugo-Badera o S. Wiatrze w „Gazecie Wyborczej” z 24 lipca 1996 r.). Ciągłe pobyty zagraniczne maksymalnie wyobcowwały S. Wiatra od Polski i uczyniły go prawdziwie obojętnym na jej interesy, jak to później okazał w toku kampanii przeduniijnej. Poczł się straszliwie ukarany w 1973 r., gdy wyjątkowo nie dostał paszportu z powodu nagłego politycznego podpadnięcia swego ojca. – *Całe nieszczęście polegało na tym, że musiałem spędzić w kraju wakacje po raz pierwszy i chyba jedyny – zwierzał się redaktorowi „Wyborczej”.**

OD KC PZPR DO PROUNIJNEGO WAZELINIARSTWA

Młody Wiatr szybko stał się bardzo aktywnym członkiem PZPR, awansując do rangi sekretarza Komitetu PZPR na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Tam „popisał się” niechlubnymi działaniami przy organizowaniu bojówek dla rozbijania nielegalnie działającego tzw. latającego uniwersytetu. Bojówki zaczęły od prowokowania awantur na nielegalnych wykładach,

ale z czasem zaczęło dochodzić nawet do ich rozbijania siłą. W drugiej połowie lat 80. S. Wiatr należał do szczególnie popieranej przez M.F. Rakowskiego i nagłaśnianej w mediach grupy młodych aktywistów. Sam S. Wiatr zwierzał się o tamtych czasach: *Mieliśmy wolny dostęp do „Trybuny”, radia i telewizji. Nie było dnia, żeby nas nie pokazywali w telewizorze*. W grudniu 1988 r. S. Wiatr – dzięki L. Millerowi – zostaje kierownikiem wydziału KC PZPR. Szybko okazał się niebywale pomocny – dzięki zmysłowi manipulatorskiemu – w czasie słynnej polemiki między młodymi aktywistami partyjnymi a członkami uczelnianego NZS-u zorganizowanej w stołówce KC. Cynicznie akcentował: *Spokojnie, towarzyszu sekretarzu odpowie na wszystkie pytania, zwłaszcza na te, na które będzie chciał odpowiedzieć*. W 1989 r. M.F. Rakowski powołał go na sekretarza KC PZPR. Wszedł do sejmu kontraktowego w 1989 r., ale w ciągu dwóch lat tylko raz odwiedził swoich wyborców (!).

Przebrana w wyborach 1991 r., gdy kandydował z listy SdRP, skłoniła S. Wiatra do skupienia się na sprawach biznesowych, gdzie zyskał ogromnie korzystne wsparcie partyjne. Wiele mówiące pod tym względem były uwagi w cytowanym już wcześniej tekście J. Hugo-Badera w „Wyborczej”: *Sławomir Wiatr zakłada firmę Mitpol. Jego współnikami są adwokat Mirosław Brych, przyjaciel Ireneusza Sekuły, obrońca Bągsika oraz Krzysztof Ostrowski, zastępca kierownika wydziału zagranicznego KC PZPR. Ostrowski, jak pisał tygodnik „Wprost”, był jednym z tych, którzy w 1988 r., kiedy PZPR zważyła już we własną przyszłość, wydali zarządzenie nakazujące przelanie partyjnych zasobów dewizowych z kont w PKO BP na konta w renomowanych bankach zachodnich. „Wprost” utrzymuje, że przynajmniej część tych pieniędzy przejęła potem SdRP, zapoczątkowując budowę potęgi finansowej partii (...). Mitpol wprowadził na polski rynek ogromny austriacki koncern Billa. Powstaje firma Billa Polen (znana z sieci supermarketów – J.R.N.) (...) W Billa Polen, obok Mitpolu i Billi austriackiej, udział ma austriacka firma Polmarck, której głównymi udziałowcami są Andrzej Kuna i Aleksander Żagiel. Firmą Kuny i Żagla interesują się polska prokuratura i UOP w związku z nadużyciami w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. W maju 1993 r. Zarząd Śledczy UOP badał dokumenty Polmarcku i Billi w warszawskim sądzie rejonowym.*

Z ustaleń sejmowej komisji zajmującej się sprawą Oleksego wynika, że na terenie Polski w firmie Polmarck zatrudniony był pułkownik rosyjskiego wywiadu Władimir Ałganow, który prowadził informatora o kryptonimie „Olin” (...).

Znalazł „odpowiednie” wytłumaczenie dla zatrudnienia w Polmarcku szpiega Ałganowa. – *Skąd mogłem to wiedzieć? – mówił. – Dopiero zacząłem biznes, nie miałem doświadczenia. Nie mogłem żyć i pracować z założeniem, że uszyscy wokół nas to potencjalni przestępcy (według „Rzeczpospolitej” z 4 lutego 2002 r.).*

Ciekawe, że szereg firm, w których pracował S. Wiatr deklarowało wysokie poniesione straty (Mitpol w 2000 r. – 121,7 tys. zł straty, Alpine Polska – ponad 210 tys. straty na początku 2000 r., stworzona przez S. Wiatra w 1995 r.

Press Service – ponad 250 tys. straty pod koniec grudnia 1999 r.). Pomimo tych niepowodzeń Wiatrowi zapewniono w 2000 r. miejsce w Radzie Nadzorczej BRE – m.in. obok byłego szefa UOP Gromosława Czempieńskiego i biznesmena Jana Kulczyka.

W świetle powyższych faktów trudno nie zgodzić się z wysuniętą przez Antoniego Lenkiewicza oceną: *Droga życiowa i obecna pozycja „biznesowa” towarzysza Wiatra Sławomira, najzupełniej jednoznacznie świadczy o tym, że od wczesnego dzieciństwa (urodzony w 1953 r.) należał do rozpieszczonych i gruntownie zdemoralizowanych bachorów PRL, że był i pozostał bezideowym karierowiczem, że w polityce nie jest bynajmniej na uboczu, lecz na sztabowym stanowisku w SLD.*

Jako pełnomocnik rządu ds. informacji europejskiej S. Wiatr należy do osób szczególnie odpowiedzialnych za potulne przyjmowanie warunków dyktowanych Polsce przez UE. Otwarcie deklarował na łamach „Tygodnika Powszechnego” z 9 czerwca 2002 r., że *strategia tzw. twardych negocjacji to bzdura.*

W roli pełnomocnika rządu ds. informacji europejskiej dopuścił się również ogromnej biznesowej „stronniczości”, łagodnie mówiąc. Wielka część opozycji sejmowej domagała się jego dymisji po przedziwnym, skandalicznym wręcz przetargu na produkcję filmów „Unia bez tajemnic”, promujących wiedzę o Unii Europejskiej. Wygrała go Agencja Z&T, której współzałożycielem i dawnym udziałowcem był rzecznik rządu Michał Tober. Przetarg był dziwnie uproszczony i przeprowadzony w ekspresowym tempie, przy udziale zaledwie pięciu firm, z pominięciem licznych innych, dużo bardziej renomowanych. Zwycięzcą została bardzo mała firma, ale z udziałami SLD-owskiego instytutu. Jak fatalne knoty propagandowe produkowała każdy pamięta. Ważne, że znowu zarobili „kolesie”.

Prawdziwym ciosem dla S. Wiatra stała się tylko konieczność ujawnienia w sierpniu 2002 r. tego, że był tajnym i świadomym współpracownikiem służb specjalnych PRL. W pierwotnym swoim oświadczeniu na ten temat skłamał. Wiedział o tym premier Miller, ale mimo to mianował S. Wiatra na stanowisko ministerialne (według B. Wildsteina w „Rzeczpospolitej” z 7 października 2002 r.). I tak to jakoś dziwnie zamknęło się koło: od agenta gestapo Wilhelma Wiatra do agenta wywiadu PRL-u Sławomira Wiatra. Ciekawe, że nawet tak niechętna lustracji „Gazeta Wyborcza” przyznawała w tekście Piotra Stasińskiego z 30 sierpnia 2002 r.: (...) *to wszystko nie oznacza, że ludzie, którzy przyznali się do współpracy ze służbami specjalnymi PRL, mają się teraz hurmem pchać na wysokie stanowiska w państwie. Ich bezwstydu i braku pokory nie powinien w żadnym razie pieczętować demokratyczny rząd. Co innego tolerować ludzi związanych ze służbami specjalnymi PRL, a co innego obdarzać ich przywilejami, awansować i popierać (...). A już zupełnie nieodpowiedzialne jest powierzanie im funkcji politycznych o kluczowym znaczeniu dla kraju. Taką sprawą jest promocja Unii Europejskiej.*

W. CIMOSZEWICZ (SYN OFICERA STALINOWSKIEJ INFORMACJI)

W październiku 1991 roku doszło do publicznego ujawnienia sprawy przeszłości ojca obecnego ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza. Poseł OKP Jan Beszta-Borowski stwierdził wręcz, że ojciec Włodzimierza Cimoszewicza był członkiem „organizacji przestępczej” – Informacji Wojskowej. Według Beszty-Borowskiego: *Szef Informacji Wojskowej w Wojskowej Akademii Technicznej o nazwisku Cimoszewicz miał zwyczaj rozmawiania z ludźmi, trzymając w ręku pistolet i obracając nim na palcu cynglowym. Znany jest fakt śmierci jednego z podwładnych w wyniku takich rozmów* (cyt. za „Gazetą Wyborczą” z 11 października 1991 r.). Oświadczenie posła Beszty-Borowskiego wywołało gwałtowną publiczną ripostę ze strony Włodzimierza Cimoszewicza. Nazwał Besztę-Borowskiego *załganym łobuzem*, a w innym tekście (w „Gazecie Współczesnej”) stwierdził m.in.: *Rozumiem, że dla Borowskiego, jego szefów i was, nierozumnych dziennikarzy, babrzących się w takich prowokacjach, wybawcami byli naziści, skoro ci, którzy z nimi walczyli zasługują na miano oprawców. Po wojnie mój ojciec przez 30 lat służył w Wojsku Polskim, w tym także w kontrwywiadzie, instytucji, jaka jest zawsze i w każdej armii. Wy, którzy opluwacie Go dzisiaj, możecie powołać się tylko na fakt służby w tej formacji. Nie przytaczacie, bo nie możecie przytoczyć żadnych prawdziwych zarzutów, dotyczących jego postępowania. „Dowody” Borowskiego są łgarstwem* (cyt. za: Piotr Jakucki „Pułkownik Cimoszewicz”, „Gazeta Polska” z 4 listopada 1993 r.).

Oburzony stwierdzeniami W. Cimoszewicza poseł Beszta-Borowski skierował przeciwko niemu skargę do sądu, przedstawiając dowody prawdziwości swych zarzutów pod adresem ojca Cimoszewicza. W osobnym liście do „Gazety Lokalnej” (por. nr 14-15 z 1992 roku) poseł Jan Beszta-Borowski przytoczył uzupełniające dane na temat życiorysu ojca Cimoszewicza jeszcze przed objęciem funkcji szefa Informacji Wojskowej na WAT. Pisał: (...) *Oto przyszły pułkownik Cimoszewicz w czasie wybuchu wojny w 1939 roku, mając lat 22, nie uczestniczy w obronie Polski, nie jest żołnierzem Armii Polskiej broniącej ojczyzny przed dwoma najeźdźcami. Przeciwnie – już w październiku 1939 r. jest „poborcą dostaw obowiązkowych w wołkowyskim Rejnopólnamzakuie. Czyli jest na służbie jednego z zaborców – bolszewików. Rekwirował płody rolne od polskich rolników na rzecz najeźdźcy.* Jakucki w cytowanym wcześniej artykule powoływał się na zeznania świadka Romualda U., który zapamiętał M. Cimoszewicza jako „seksota” (tajnego agenta) komisarza kadr, ówczesnego naczelnika kadr w dziale technicznym parowozowni w Białymstoku. W 1943 roku Cimoszewicz skończył szkołę pracowników politycznych i do końca wojny był w aparacie politycznym. Od kwietnia 1945 roku robi błyskawiczną karierę w Informacji Wojskowej – w ciągu 3 lat zostaje komendantem w Głównym Zarządzie Informacji, kontrolowanym wówczas przez dwóch sowieckich zbrodniarzy, pułkowników NKWD w Polsce: Wozniesieńskiego i

Skulbaszewskiego, a także szefem Informacji Wojskowej na WAT. Robert Mazurek, autor interesująco naszkicowanej sylwetki Włodzimierza Cimoszewicza („Metamorfozy pana C.”, „Życie Warszawy” z 31 marca 1997 r.) pisał, że ojciec Cimoszewicza *w 1951 r. trafia do Wojskowej Akademii Technicznej. Tam aresztuje komendanta uczelni gen. Floriana Grabczyńskiego. Z jego rozkazu aresztowano też kilkunastu oficerów WAT, którzy wcześniej byli w AK.* Dokonując tej bezwzględnej czystki na wyższej uczelni major Marian Cimoszewicz był w tym czasie oficerem bez żadnego wykształcenia. Dopiero kilka lat później – w 1957 roku skończył liceum i zdał maturę (!).

Dodajmy do tego informację o wcześniejszej roli Mariana Cimoszewicza w likwidowaniu oddziałów AK – sam się chwalił podczas spotkania z oficerami akademii, że w 1944 r. zlikwidował oddział AK. Według innych źródeł, w 1946 r. jako oficer IW kierował grupą likwidującą „bandę” Bohuna (za: P. Jakucki, *op.cit.*). Cimoszewiczowie zamieszkali w domu na Boernerowie (Bemowo), odebranych prawowitym właścicielom, których przymusowo wysiedlono z Boernerowa na początku lat 50. jako „element politycznie niepewny” („Gazeta Lokalna” nr 2/104 z lutego 1996 r.). Żona majora M. Cimoszewicza zaczęła pracę w bibliotece WAT na miejsce poprzedniej pracowniczki tej biblioteki Ewy Cecetki-Cymerman, zwolnionej nagle bez uzasadnienia w sposób bardzo ordynarny przez M. Cimoszewicza („Gazeta Lokalna” z 27 czerwca 1992 r., nr 12-13/42-43). Porównajmy opisane wyżej fakty z gwałtownym zarzucaniem Beszcie-Borowskiemu łgarstwa przez W. Cimoszewicza i pokrzykiwaniem o tym, że dla takich jak on „wybawcami byli naziści”.

Włodzimierz Cimoszewicz, występując z taką furią przeciw przypomnieniu przeszłości ojca, jako motto do swej książki wybrał stwierdzenie Anny Uchlig: *Kto przekreśla PRL, ten przekreśla cały mój życiorys.* Trzeba przyznać, że swoją publiczną identyfikację z PRL-em zaczął bardzo wcześnie. Już jako maturzysta w 1968 roku kategorycznie przeciwstawił się napiętnowaniu ówczesnych rządów gomulkowski jako „dyktatury ciemniaków”. I uzyskał wydrukowanie proreżimowego tekstu swego wypracowania maturalnego na łamach „Życia Warszawy” (por. W. Cimoszewicz „Czas odwetu”, Białystok 1993 r., s. 40). Wielu jego rówieśników było w tym czasie pałowanych na rozkaz „ciemniaków”. On w pełni utożsamiał się z totalitarną dyktaturą. Jakżeby mógł inaczej, wychowany pod „opiekuńczymi skrzydłami” pułkownika Cimoszewicza! Od jesieni 1968 roku studiuje na Wydziale Prawa w Warszawie i staje się działaczem uczelnianej organizacji ZMS. W 1971 roku wstępuje do PZPR, a w 1972 r. zostaje przewodniczącym ZMS na Uniwersytecie Warszawskim. Wchodzi do władz Komitetu Uczelnianego PZPR. Nawet swą błyskawiczną karierę w ZMS tłumaczył później jako swoisty przykład niezależności, twierdząc, że: *Przynależność do ZMS mogła nawet przeszkadzać (!!!)* (W. Cimoszewicz „Czas odwetu”, s. 43) (był bowiem dużo częściej odpytywany na zajęciach). Kiedy doszło do połączenia – pomimo protestu wielu studentów – trzech organizacji studenckich w jeden Socjalistyczny Związek Studentów Polskich (SZSP), należał do zdecydowanych zwolenników tego połączenia, narzuconego studentom przez partyjną biurokrację. I został... komisarycznym

szefem SZSP na UW. Józef Oleksy wspominał Cimoszewicza z owych czasów jako wręcz zwracającego uwagę swoją pryncypialnością. Pisał, że **wionęło pryncypialnością**, gdy tylko Cimoszewicz wchodził na trybunę. Miał zaledwie dwadzieścia parę lat, gdy uzyskał kolejny błyskawiczny awans – został sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR akurat w czasie pogłębiającego się kryzysu politycznego późnego Gierka, w okresie aktywizacji opozycji z KOR-u i ROPCiO. Na temat dokonanej przez Gierka zmiany konstytucji serwilistycznie uzależniającej Polskę od ZSRR, wspominał: *Wszyscy mieliśmy skłonność do usprawiedliwiania miękkiej postawy wobec Związku Radzieckiego, byliśmy przekonani, że inne zachowania mogłyby być groźne dla Polski.* W sprawie innego posunięcia ówczesnych władz PZPR – zapisania w konstytucji kierowniczej roli PZPR – szczerze przyznawał: *Nas jako członków PZPR ani to ziębiło, ani grzało. Nie popadaliśmy przez to w jakiś konflikt sami ze sobą* (W. Cimoszewicz, *op.cit.*, s. 53). Poczucie bycia członkiem kierowniczej siły, jak widać, wzmacniało dobre samopoczucie szybko awansującego działacza partyjnego.

W 1980 roku został wysłany na 3 miesiące do pracy w konsulacie w Malmoe. We wrześniu tego roku zaś wyjechał na stypendium Fullbrighta do USA, dzięki decyzji władz o tym, że jego konkurent do stypendium, Lamentowicz powinien się wycofać (*op.cit.*, s. 55). Pozostał wierny PZPR-owi w czasach „Solidarności” i po ogłoszeniu stanu wojennego podczas pobytu na Uniwersytecie Columbia należał do organizacji PZPR przy konsulacie w Nowym Jorku. W lutym 1982 roku powrócił do pracy na warszawską uczelnię.

Według informacji z listy Macierewicza Cimoszewicz w 1980 roku pod pseudonimem „Carex” został współpracownikiem wywiadu.

Ustosunkowując się do tej sprawy w swej biografii „Czas odwetu” stwierdził m.in.: *Z wypowiedzi Czesława Kiszczaka wiedziałem, że w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych istniały możliwości preparowania dokumentów, mających cechy autentyczności dokumentów antydatowanych. Obawiałem się, że kierownictwo MSW może zdecydować się nawet na taką awanturę, jak fabrykowanie archiwaliów. Nie wykluczałem więc, że mogę znaleźć się na liście Macierewicza. Kiedy Olek Kwaśniewski przedstawił mi dokumenty, z dużym zaskoczeniem zauważyłem, że byłem odnotowany w aktach polskiego wywiadu (...). Byłem zaskoczony, ponieważ okazało się, że kontakt, jaki w 1980 roku nawiązałem ze mną przed wyjazdem na stypendium Fundacji Fullbrighta przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych został w tych dokumentach przedstawiony jako kontakt z wywiadem (...)* (*op.cit.*, s. 25-26).

ALERGIA NA POLSKOŚĆ

Po likwidacji PZPR w styczniu 1990 roku Cimoszewicz nie wstąpił do SdRP. Fakt ten próbowano później częstokroć eksponować jako dowód niezależności Cimoszewicza i jego opowiedzenie się po stronie prawdziwie reformatorskiej lewicy. Rację mają jednak raczej ci, którzy sądzą, że Cimoszewicz

nie doceniał wówczas prawdziwej siły postkomunistów z SdRP i nie chciał zostać wraz z nimi zmarginalizowany.

W czasie kampanii prezydenckiej 1990 roku właśnie Cimoszewicz został kandydatem postkomunistów na prezydenta. Podobno dlatego, że sam Kwaśniewski obawiał się wówczas całkowitej kompromitacji wyborczej, jakichś trzech procent. W tej sytuacji wynik uzyskany przez Cimoszewicza był traktowany jako duże zaskoczenie – dostał 9 procent głosów, plasując się na czwartym miejscu za Wałęsą, Tymińskim i Mazowieckim. W latach 1991-1993 nadal przewodniczył Parlamentarnemu Klubowi Lewicy Demokratycznej. Po sukcesie wyborczym SLD w 1993 roku Cimoszewicz został wicepremierem i ministrem sprawiedliwości w rządzie Pawłaka. Jako minister sprawiedliwości zasłynął głównie akcją „Czyste ręce”. W ramach niej ujawnił nazwiska wysokich urzędników państwowych, którzy biorą równocześnie pieniądze za zasiadanie w radach nadzorczych firm państwowych. Akcja nie przyniosła faktycznie żadnych skutków negatywnych osobom skrytykowanym przez Cimoszewicza. Mógł jednak odtąd chodzić w nimbie nieprzekupnego tropiciela gospodarczych patologii.

Resort Cimoszewicza nie mógł się pochwalić żadnymi większymi osiągnięciami; powszechnie narzekano na fatalne funkcjonowanie sądów i prokuratury. Cimoszewicz miał na to dość swoiste wytłumaczenie – twierdził, że podczas weryfikacji rzekomo wyrzucono najlepszych specjalistów. Po dymisji rządu Pawłaka nie wszedł do rządu Oleksego. Urażony niezaproponowaniem mu wicepremierostwa nie chciał przyjąć wyłącznie teki szefa resortu sprawiedliwości. Został wówczas wicemarszałkiem Sejmu.

W nowej sytuacji tym mocniej rozwijał stosunki z lewicowymi środowiskami z kręgu dawnej tzw. opozycji laickiej, zwłaszcza z Michnikiem, Geremkiem i Bujakiem. Nieprzypadkowo właśnie „różowi” tzw. europejczycy stanowili najbliższych rozmówców Cimoszewicza spoza SLD i SdRP. Głównym efektem tych zacieśniających się kontaktów stał się głośny artykuł Cimoszewicza i Michnika, wspólnie apelujących o zakończenie wszelkich rozliczeń PRL-owskiej przeszłości. Cimoszewicz, podobnie jak Kwaśniewski i liczni inni politycy SLD, stanowi typ człowieka gruntownie uodpornionego na takie pojęcia jak polskość, polski patriotyzm, poczucie polskiego interesu narodowego. Tym, którzy chcieliby polemizować z moimi tak kategorycznymi sądami w tej sprawie polecam uważną lekturę „Czasu odwetu”. W tej książce widać aż nadto wyraźnie, że Cimoszewicz nie mógł się przełamać do napisania jakichś cieplejszych słów o Ojczyźnie, patriotyzmie, uczuciach narodowych, nie mówiąc już o trosce z powodu występujących dziś zagrożeń dla Polski i polskości. Tym więcej tam za to ataków na wszystko, co się z polskimi uczuciami narodowymi kojarzy, czy gwałtownego piętnowania rzekomej siły antyżydowskości w Polsce. Na s. 39 „Czasu odwetu” pisze: *Nie będąc Żydem poznałem, co to znaczy być nim w Polsce.* Na s. 192 insynuuje, iż: *Prawdą jest niestety, że w naszym społeczeństwie, i to od lewicy do prawicy, nieustannie można spotkać się z przejawami endemicznego antysemityzmu.*

W książce z pasją atakował *niepodległościowe slogany* (s. 13), *narodową tromtadrację*, oczywiście idącą w parze z *zoologicznym antykomunizmem* (s. 270), *polską ksenofobią* (s. 273) etc.

Po dojściu do władzy jak mógł dawał wyraz napadom skrajnego filosemityzmu. Wystąpienie Cimoszewicza jako premiera RP podczas uroczystości w Kielcach w lipcu 1996 r. ku czci ofiar kieleckiej prowokacji z 1946 roku przyniosło jaskrawy dowód tego, jak bardzo nieważna dla niego jest autentyczna prawda o historii i godność własnego kraju. W sprawach stosunków polsko-żydowskich, tak skomplikowanych i złożonych, po dziesięcioleciach przemilczeń i niedomówień, postkomunistyczny premier pozwolił sobie na publiczne, obelżywe dla Polaków stwierdzenia jednostronnie obciążające ich winą za wszystkie problemy w stosunkach z Żydami.

LONGIN PASTUSIAK (ZIĘĆ BYŁEGO PRZYWÓDCY PZPR)

Naukowa i polityczna kariera obecnego marszałka Senatu prof. Longina Pastusiaka zaczęła się już w latach 60. wraz z wejściem do kręgów partyjnej „elitki” po poślubieniu córki Edwarda Ochaba, ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa PRL. Teść Pastusiaka należał wówczas już od wielu lat do najbardziej wpływowych komunistów polskich. Sam Stalin powiedział o nim w swoim czasie: *Zubatyj komunist.* Jako I sekretarz KC PZPR w czerwcu 1956 roku Ochab rzeczywiście „pokazał zęby”, bezlitośnie tłumiąc powstanie poznańskich robotników. Nawet po odejściu z funkcji I sekretarza KC PZPR w październiku 1956 r. Ochab dalej pozostał na wiele lat członkiem Biura Politycznego KC PZPR, a w 1964 r. stał się głową PRL-owskiego państwa jako przewodniczący Rady Państwa.

Trzeba przyznać, że w Ochabie Pastusiak trafił na wyjątkowo prymitywnego teścia-prominenta. Nawet wśród ludzi komunistycznego betonu niewiele było osób tak mocno ograniczonych mentalnie poprzez skłonności do ulegania najgłupszym marksistowskim formułkom. Dobrze ujawnia to prezentowana już na początku książki T. Torańskiej „Oni” rozmowa z E. Ochabem. Ochab z werwą wymyślał na rządy II RP jako rzekome rządy faszystowskie, „rządy hańby narodowej; w swych atakach nie oszczędzał nawet tak wielkich postaci sprzed wojny jak wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. I szedł dalej w wymyślaniu w broszurowym stylu na „reakcję” z Londynu, „opryszków z NSZ”, „pogrobowców reżimu Berezy” etc., etc. Nawet Gomulce dostały się odeń odpowiednio mocne epitety. Sfrustrowany, po odsunięciu od władzy, Ochab nazwał Gomułkę w rozmowie z Torańską „mętną głową ze skrzywieniami nacjonalistycznymi”. Nie mógł darować Gomulce krytykowania KPP za niezrozumienie spraw narodowych i traktowania niepodległości jako „sprawy nadrzędnej”. Nazywał te poglądy Gomułki „antyleńskimi” i „antymarksistowskimi”. Nieprzypadkowo tak wychowywana w domu córka E. Ochaba Maryla Ochab była bardzo mocno związana z antynarodowymi michnikow-

cami. Sam A. Michnik przygotowywał ją do matury z historii (wg J. Eisler „Marzec 1968”, Warszawa 1991, s. 378).

W połowie lat 60. doszło do niesamowitej publicznej kompromitacji E. Ochaba, wówczas przewodniczącego Rady Państwa PRL. Siedział sobie wygodnie rozparty na trybunie przy Stadionie Dziesięciolecia na zakończenie kolejnego Wyścigu Pokoju, gdy podszedł do niego z mikrofonem znany sprawozdawca sportowy red. Tuszyński. Zwrócił się do Ochaba słowami: *Panie Przewodniczący...* Nie zdążył jednak zadać pełnego pytania, gdy usłyszał wściekle burknięcie rozłoszczonego Ochaba: *Nie jestem żadnym panem, tylko towarzyszem!* Ochab nie zauważył, że tak grubiańsko pouczając red. Tuszyńskiego mówi do otwartego mikrofonu i jego pełne złości burknięcia usłyszały miliony słuchaczy w całej Polsce. Nieco skonfundowany red. Tuszyński natychmiast „poprawił się”, mówiąc: *Towarzyszu Przewodniczący, jak oceniacie przebieg dzisiejszego wyścigu?* W odpowiedzi usłyszał kolejne pełne złości burknięcie Ochaba: *O mój Boże! Człowiek tak ciężko pracuje, a tu mu jeszcze głowę zawracają!* Była to totalna kompromitacja Ochaba w kręgu milionów słuchaczy, którzy usłyszeli oba gniewne burknięcia przewodniczącego Rady Państwa. Gburowaty Ochab okazał się skrajnym hipokrytą. Kategorycznie żądał zwracania się doń per „towarzyszu”, a zaraz potem sam zawołał: *O mój Boże!*

Po tak żalonym blamażu Ochab stał się w Polsce chyba najbardziej znienawidzonym wówczas komunistycznym prominentem, ośmieszonym w dziesiątkach złośliwych dowcipów krążących po całym kraju. Jeden z nich zapytywał: *Dlaczego towarzysz Ochab wciąż biega po Warszawie z chorym pęcherzem? Bo wszędzie szuka: „Dla towarzyszy!”, a jest tylko: „Dla panów!”*

Sam Longin Pastusiak, skądinąd wielce pracowity autor dziesiątków książek z tematyki zagranicznej, bardzo dobry znawca problematyki amerykańskiej, był niestety zawsze i konsekwentnie typem komunistycznego naukowca-propagandy. Przez lata wyżywał się niegdyś w skrajnych atakach na politykę amerykańską. Dziś, kiedy o Amerykanach, jako o sojusznikach, już tak pisać nie popłaca, wychwala różnych amerykańskich prezydentów, ale swe ideologiczne zajadłości rezerwuje głównie dla wewnętrznych spraw polskich. Nie tak dawno straszliwie się skompromitował pełnym ignorancji i nieprzytomnej wręcz stronniczości atakiem na tak zasłużoną dla Polski niepodległościową organizację WiN. Zacierając znaczenie walki WiN-u przeciw sowieckim zbrojnym działaniom zmierzającym do ujarznienia Polski, Pastusiak próbował publicznie oczernić WiN w Sejmie, przeciwstawiając się sejmowej ustawie ku czci zasług tej organizacji. Tym smutniejsze, że człowiek tak pozbawiony szacunku dla tradycji niepodległościowych, stał się marszałkiem Senatu w III Rzeczypospolitej!

„Odpowiednie” zabezpieczenie materialne znalazł **syn Longina Pastusiaka – Feliks**. Pracuje on od 11 lat w firmie Lwa Rywina Heritage Films na stanowisku specjalisty. Tym marszałek Senatu tłumaczył fakt, iż billingi pokazały, że z domowego telefonu L. Pastusiaka dzwoniło ponad sto razy do wspomnianej firmy Rywina.

MARCIN ŚWIĘCICKI (ZIĘĆ BYŁEGO CZŁONKA BIURA POLITYCZNEGO KC PZPR)

Były sekretarz KC PZPR, a później prezydent Warszawy z ramienia Unii Wolności – Marcin Świącicki jest szczególnie spektakularnym symbolem dogadywania się między „czerwonymi” a „różowymi” w okresie po 1989 roku. Ojciec Marcina Świącickiego – Andrzej Świącicki był przez wiele lat przewodniczącym warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Został zmuszony do złożenia prezesury KIK-u w 1986 roku z powodu jego powszechnie krytykowanej zgody na uczestnictwo w Radzie Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Jeszcze pod koniec działania Rady prof. Świącicki dość szczególnie próbował wytłumaczyć swoje uczestnictwo w niej, mówiąc: (...) *Dlatego siedzę na tej Sali, że już 13 grudnia, przynajmniej, miałem inny stosunek do decyzji wprowadzenia stanu wojennego niż większość moich kolegów. Uważałem, że jest to zło, ale zło konieczne (...)*

Młody Marcin Świącicki początkowo zaczynał swą życiową karierę jako członek KIK-u, choć już wówczas akcentował bardzo mocno poparcie dla socjalizmu. W publikowanej w 1968 roku w „Więzi” ankiecie pisał w imieniu młodych, którzy *akceptują główne założenia ustroju socjalistycznego, a jednocześnie wierzą w istnienie Niewidzialnego*. Wręczona mu przez kolegów z KIK-u karykatura przedstawiała Świącickiego z krzyżem w jednej ręce, a sierpem w drugiej. W 1974 roku wstąpił do PZPR. Usprawiedliwiał później tę decyzję tym, że jako ekonomista *tylko w ten sposób* będzie mógł zrobić coś pożytecznego. Bliskie związki z „czerwoną” nomenklaturą zapewnił mu odpowiedni ożenek. Ożenił się z córką jednego z największych prominentów PRL, Eugeniusza Szyra, bardzo poważnie odpowiedzialnego za dewastację polskiej gospodarki (Szyr był ministrem budownictwa w 1956 roku, wiceprezesem Rady Ministrów (1959-1972), przewodniczącym Państwowej Rady Gospodarki Materialnej (1959-1972), ministrem gospodarki materiałowej (1976-1981), członkiem KC PZPR (1948-1981) i członkiem Biura Politycznego KC PZPR (1964-1968)). Szyr był jednym z członków frakcji żydowskiej, tzw. puławian w KC PZPR.

Młody Świącicki po pracy na Uniwersytecie i dłuższym pobycie na studiach w USA pracował w Urzędzie Planowania i w rządowej Komisji Planowania. W latach 80. pracował w Konsultacyjnej Radzie Gospodarczej prof. Czesława Bobrowskiego, w latach 1987-1989 był jej sekretarzem generalnym. Później chwalił się, że równoległe do swej działalności w PZPR utrzymywał kontakty z ludźmi zaangażowanymi w podziemnej opozycji. W 1995 roku wystąpił publicznie wobec dziennikarzy z rewelacją, iż po grudniu 1981 roku zasłużył się w ukrywaniu pary działaczy solidarnościowych, oczywiście tych z nurtu opozycyjnej lewicy laickiej. Zwierzał się: *Była u mnie zastępczyni redak-*

tora naczelnego „Gazety Wyborczej” pan Helena Luczywo z mężem, kiedy poszukiwano ich listami gończymi po ogłoszeniu stanu wojennego.

W 1989 roku był jednym z przedstawicieli strony rządowej przy „okrągłym stole”, a w czerwcu 1989 roku został wybrany do Sejmu z listy PZPR. Z inicjatywy Mieczysława F. Rakowskiego został sekretarzem KC PZPR do spraw ekonomicznych. Nagle zaczęły owocować jego dawne kontakty z lewicową częścią opozycji, która zdominowała środowisko tworząc rząd Tadeusza Mazowieckiego. We wrześniu 1989 roku został ministrem współpracy gospodarczej w rządzie Mazowieckiego. Był jednym z najbardziej nieudolnych ministrów w rządzie Mazowieckiego. Wiele osób obciążało go bardzo ciężką odpowiedzialnością za brak odpowiedniej kontroli i decyzji, które położyłyby kres patologiom polskiego importu, skrajnie zliberalizowanego w owym czasie. Ułatwiało to powstawaniu i piętzeniu się różnych afer, które kosztowały Polskę biliony złotych, od afery alkoholowej po tytoniową i rublową (Rubel-gate). Świącickiemu zarzucano, że nie potrafił skutecznie i na czas wystąpić przeciw godzącym w interesy polskiej gospodarki patologiom.

Szczególnie ostro krytykowano skrajną „niefrasobliwość” i nieodpowiedzialność Świącickiego jako ministra współpracy gospodarczej z zagranicą w kontekście tzw. Rubel-gate (afery rublowej).

Stopniowo Świącicki zaczął coraz bardziej zbliżać się do Unii Demokratycznej. Po wejściu do niej stosunkowo szybko został wybrany do prezydium warszawskich władz UD. W wystąpieniach na spotkaniach Unii szczególnie ostro przeciwstawiał się wszelkim formom lustracji, piętnował „nacionalistyczną i ksenofobiczną prawicę”, która *obawia się współpracy z międzynarodowym Funduszem Walutowym, obawia się integracji europejskiej*. W 1993 roku wszedł do Sejmu z ramienia Unii Wolności. W 1994 roku został prezydentem Warszawy dzięki zawartej przez Geremka i Kwaśniewskiego w imieniu UW i SLD czteroletniej samorządowej umowy koalicyjnej. Czteroletnia prezydentura Świącickiego okazała się jednym wielkim pasmem nieudolnych decyzji, bezholowia i bałaganu. W „Rzeczpospolitej” z 15 stycznia 1998 r. cytowano opinię jakiegoś wysokiego urzędnika miejskiego, który uskarżał się, że *Świącicki zajmuje się duperełami, które nie powinny zajmować prezydenta. Przysłała mi pisma w jakiejś jednostkowej sprawie. A to powinni załatwić ludzie mu podlegli*. Autor tekstu w „Rzeczpospolitej” Filip Frydrykiewicz przypominał dość szczególne kierunki „działań” Marcina Świącickiego jako prezydenta Warszawy: (...) *Lata helikopterem nad Warszawą z Michaelem Jacksonem, wmurowuje kamień węgielny pod nowy biurowiec, jeździ na rowerze podczas festynu lub daje sobie zmyć głowę piwem podczas zabawy barbórkowej górników z warszawskiego metra. Tymczasem mieszkańcy stolicy oczekują, że zapewni im wygodną komunikację, dobre drogi, czyste ulice i smaczną wodę w kranach (...)*.

JAN RUTKIEWICZ (PASIERB SEKRETARZA KC PZPR)

Ciekawy jest rodowód Jana Rutkiewicza, byłego burmistrza warszawskiego Śródmieścia, najbogatszej dzielnicy Warszawy, mającego ogromne możliwości rozstrzygnięcia w sprawach budynków o wielkiej wartości materialnej. Wywodzi się on ze starej komunistycznej rodziny. Jego ojciec był znanym działaczem komunistycznym, który zginął w czasie wojny, matka Maria, agentka sowiecka, po przyjeździe ze Związku Sowieckiego była radiotelegrafistką u sekretarza KC PPR Marcelego Nowotki. Po wojnie matka Rutkiewicza wyszła za mąż za Artura Starewicza, znanego później jako jednego z czołowych przedstawicieli frakcji żydowskiej, tzw. puławian w opisanym przez W. Jedlickiego długotrwałym konflikcie „chamów” i „Żydów” w KC PZPR. Starewicz był kierownikiem wydziału propagandy masowej KC PZPR w okresie najgorszego stalinowskiego zakłamania (od grudnia 1948 do maja 1953 r.). Od maja 1953 r. do stycznia 1954 r. kierował Wydziałem Propagandy i Agitacji, a od grudnia 1956 do lipca 1963 r. był kierownikiem Biura Prasy KC PZPR. Od 1963 do 1970 r. był sekretarzem KC PZPR. Jak pisano w tekście Stanisława Mizerskiego o Rutkiewiczu na łamach „Życia Warszawy” z 18 lutego 1994 r. jego wychowanie w kręgu partyjnej elity sprawiło, że: *W domu na co dzień widywał ludzi, którzy, podobnie jak on sam, należeli do odrębnego, uprzywilejowanego świata. Jeździł na wakacje do specjalnych ośrodków, jadał w specjalnych stołówkach, chodził do specjalnych kin*.

Wychowanie w takiej elitarniej arze, pod opieką ogromnie wpływowego ojczyma, przez wiele lat faktycznego dyktatora komunistycznych mediów, zostawiło na Rutkiewiczu różne dość szczególne nawyki. Z jednej strony sam szczerze wyznawał: *Chamstwo przychodzi mi bez większego trudu*. Z drugiej strony, nie przypadkowo, odznaczał się ogromną awersją do rozwiązywania różnych naruszeń własności prywatnej w dobie PRL-u i zwrotu mienia wówczas zagrabionego prawowitym właścicielom. W końcu mienie to grabili w swoim czasie ludzie z tak bliskiej mu przez dziesięciolecia komunistycznej elity. Czy można było więc szkodzić „swoim”? Wobec „innych”, zwłaszcza tych ze strony solidarnościowej popisywał się ogromną arogancją i butą. Na przykład usilnie blokował zapewnienie w Warszawie lokalu dla kabaretu słynnego z prosolidarnościowej postawy Jana Pietrzaka. Gdy doszło do sporu wokół tej sprawy burmistrz Rutkiewicz powiedział na konferencji prasowej: *Uznaliśmy, że pan Pietrzak jest osobą niegodną zaufania, jak dzicy handlarze uliczni* (według „Polityki” 22 czerwca 1991 r.). Oburzony Pietrzak komentował w „Polityce”: *Gmina Śródmieście nie sprzedaje lokali użytkowych, lecz je przydziela według absolutnie dowolnych kryteriów. Urzędnicy z sufitu wyznaczają czystsze, nie ogłaszają publicznych przetargów, stosują tysiące sztuczek, żeby splawić niewygodnego interesanta, nie odpowiadają na podania, gubią*

papiery, unikają niechcianych rozmówców itd. Stosują wszystkie zdobycze realnego socjalizmu, służące zniechęceniu nielubianego petenta. A który petent lubiany, a który nie, to już oni dobrze wiedzą. To jest czysty PRL w bezkarnym rozkwicie.

Wśród lubianych przez Rutkiewicza byli oczywiście ludzie ze starej nomenklatury. Ten sam burmistrz Rutkiewicz, który był tak niechętny wobec opozycyjnego Pietrzaka, okazał diametralnie odmienne podejście w stosunku do J. Urbana. Bardzo chętnie podpisał z Urbanem umowę wieloletniej dzierżawy na lokal w centrum miasta, i to w oparciu o niskie czynsze (por. K. Andrzejewska „Urban... byłem jego żoną...”, Gdańsk 1993, s. 268). Nieprzypadkowo również właśnie burmistrz J. Rutkiewicz był szczególnie mocno odpowiedzialny za spowodowanie 4 czerwca 1953 r. bezprawnej i brutalnej akcji policyjnej wobec pravicowych manifestantów przy Placu Zamkowym.

Mało przypadkowe wydają się u tego pasierba Starewicza również i takie decyzje, jak sprzedanie w kwietniu 1990 r. żydowskiej Fundacji im. Rodziny Nissenbaumów dosłownie za bezcen potężnego 11-piętrowego gmachu PAST-y z ponad czterema tysiącami metrów kwadratowych powierzchni i dużą salą konferencyjną. Ten wielki gmach, położony parę metrów od głównej ulicy stołecznej sprzedano za niewiele ponad półtora miliarda ówczesnych złotych, czyli za równowartość miesięcznego czynszu (według „Polityki” z 22 września 1990 r.). Aby Nissenbaumom stworzyć jeszcze korzystniejsze warunki kupna, roczny czynsz 750-metrowej działki przy ul. Zielnej, na której stoi biurowiec, ustalono na 2 miliony złotych. W momencie, gdy Fundacja im. Rodziny Nissenbaumów zwróciła się we wrześniu 1989 r. o odstąpienie jej PAST-y, żaden członek zarządu fundacji nie miał nawet polskiego obywatelstwa. Pomimo tego Urząd Dzielnicowy Warszawa Śródmieście, podległy burmistrzowi J. Rutkiewiczowi przyznał Nissenbaumom budynek po skrajnie zaniżonej cenie. Skandal był tym większy, że chodziło o gmach upamiętniony szczególnie heroicznym wyczynem w dobie Powstania Warszawskiego, sławnym zwycięskim atakiem AK-owców z batalionu im. J. Kilińskiego. Trzeba było dopiero usilnych i długotrwałych protestów kombatanów, popieranym przez różne organizacje społeczne, by doprowadzić do anulowania tej niczym niezasadnionej, poza osobistymi predylekcjami, decyzji burmistrza J. Rutkiewicza. Dodajmy, że burmistrz Rutkiewicz był współodpowiedzialnym za pomysł zdeformowania głównego warszawskiego miejsca pamięci narodowej – okolic Grobu Nieznanego Żołnierza. Za aprobatą burmistrza Rutkiewicza 17 grudnia 1993 r. na Placu Piłsudskiego, w pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza, ustawiono koszmarny biało-niebieski namiot cyrkowy. Dopiero długotrwałe i jednomyślne potępienie tej decyzji ze strony różnorodnych organizacji partyjnych partii politycznych zmusiło w końcu (w styczniu 1994 r.) władze miejskie do wycofania się cichaczem z całej tak skandalicznej inicjatywy (por. szerzej: J.R. Nowak „Zagrożenia dla Polski i polskości”, Warszawa 1998, t. I, s. 232-234).

KARIERA PREMIEROWICZA L. MILLERA (JUNIORA)

Znamy już aż nadto czarny bilans rządów Leszka Millera (seniora), które doprowadziły Polskę na skraj katastrofy. Tu chciałbym zająć się tylko jednym zbył mało znanym wątkiem najnowszych dziejów rodu Millerów. Tym jak młody Miller – junior prosperował w biznesach w cieniu szczytów politycznej kariery swego ojca. Jak bardzo prosperował świadczy ocena Anity Gargas na łamach „Gazety Polskiej” z 4 czerwca 2003 r. Pisała tam, iż wygląda na to, że bez Leszka Millera juniora *nie może się w Polsce obejść niemal żaden intratny interes*. „Arcyzdolny” premierowicz błyskawicznie po ukończeniu SGPIŚ-u zajął miejsce we władzach paru spółek, w tym Rady Nadzorczej Zakładów Tłuszczowych Molmar w Bodaczowie k. Zamościa. W 1997 r. zatrudniono go za 5 tys. miesięcznie (plus premie uznaniowe) w spółce DS., zależnej od kontrolowanego przez SLD KGHM. Jego obowiązkiem miało być reprezentowanie DSI wobec potencjalnych akcjonariuszy i prowadzenie negocjacji kapitałowych, a faktyczny czas pracy miał sam organizować samodzielnie. Według A. Gargas: *W spółce nie ma śladów po jego pracy*.

Do wspomnianej sprawy dorabiania w KGHM przez Millera juniora nawiązał Bronisław Wildstein w tekście publikowanym na łamach „Rzeczpospolitej” z 7 października 2002 r., pisząc: *W przygotowanym przez rząd raporcie o spółkach skarbu państwa wypłynęła sprawa płacenia przez KGHM synowi Leszka Millera (nie bardzo wiadomo, za co) miesięcznej pensji w wysokości pięciu tysięcy złotych. Premier zapytany o to powiedział, że czuje się dotknięty, iż syn jego dostawał mniej niż sekretarka i szofer(aluzja do innych skandali ujawnionych przez raport). Świadkowie wybuchnęli śmiechem i sprawa się skończyła. W krajach cywilizowanych demokracji premier nie tylko nie mógłby się tak zachować, ale musiałby się z tego wytłumaczyć, gdyż nie skończyło się na śmiechu dziennikarzy. Ci zrobiliby z tego publiczną sprawę numer jeden i zmusiliby premiera do zmiany zachowania*.

Szef sejmowej Komisji Skarbu, poseł Wiesław Walendziak, komentował: *W standardach zachodnich jest nie do wyobrażenia, by nie było wiadomo, z czego utrzymuje się syn premiera. Nie funkcjonuje tam takie pojęcie, jak za-konspirowani członkowie rodziny szefa rządu*.

Po odejściu z DI premierowicz pracował m.in. w spółce TDA Central Europe, a potem w TDA Capital Partners. A. Gargas przypomniała, że w swoim czasie TDA TFI S.A. otrzymała jednoosobową decyzją prezesa Grzegorza Wieczczaka przełanie 225 milionów złotych ze środków PZU Życie. Kontrola NIK-u oceniła, że włożenie tych pieniędzy było decyzją błędną.

Biznesy premierowicza szły tak dobrze, że w 2001 r. pożyczył ojcu 70 tysięcy złotych wraz z żoną dysponuje luksusowymi autami audi i BMW i stać go było na chesne na sumę ponad 30 tysięcy rocznie dla córki uczęszczającej do amerykańskiej szkoły (według tekstu A. Gargas).

CZY GROZI NAM DYNASTIA KWAŚNIEWSKICH?

Od wielu lat obserwujemy niebywale szeroko rozwiniętą kampanię propagandową na rzecz Jolanty Kwaśniewskiej po cichu przygotowującą grunt dla jej kampanii prezydenckiej. Szokuje wprost ilość tekstów wywiadów z Kwaśniewską czy panegiryków na jej temat drukowanych w popularnych magazynach ilustrowanych, zwłaszcza kobiecych, wychwalających pod niebiosą jej dobroczynność, wrażliwość, mrówczą „pracowitość”, i w ogóle sylwetkę duchową pozbawioną jakichkolwiek najmniejszych nawet wad. Dziś, niestety, nie można całkiem wykluczyć, że wielka propagandowa hucpa na rzecz Kwaśniewskiej w najbardziej wpływowych mediach może doprowadzić do zapewnienia jej prezydentury. Obudzilibyśmy się wtedy w atmosferze godnej najgorszych standardów azjatyckich. Taki wybór żony aktualnego prezydenta natychmiast po jego kadencji byłby niemal lustrzanym odbiciem sytuacji w azjatyckim Azerbejdżanie. W kraju tym po zmarłym postkomunistycznym prezydencie rządy objął jego syn. Trzeba tu przyznać, że nawet wiceprzewodniczącą SLD Andrzej Celiński zachnął się na groźbę zrealizowania się w Polsce takiego azjatyckiego scenariusza. W wywiadzie dla Andrzeja Brzezieckiego z „Tygodnika Powszechnego” 11 stycznia 2004 r. powiedział: *Humorystycznym elementem polskiego życia umysłowego jest to, że dziennikarze wymyślają różne scenariusze, kto wie, czy nie dla zwiększenia nakładu, a politycy to ze śmiertelną powagą komentują. Zwieńczeniem tej zabawy jest pomysł, by żona byłego prezydenta – Jolanta Kwaśniewska była prezydentem, a szefem lewicowej opozycji został jej mąż, były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Obywatel Europy popatrzy na Polskę, na niektóre kraje byłego Związku Radzieckiego, chwilę pomyśli albo nie pomyśli – i różnicy nie dostrzeże. Tam dynastie, tu dynastie. Trochę gorzkie mogą być owoce tych zabaw.*

DYNASTIA KŁAMCZUCHÓW

Dodajmy, że byłaby to zarazem swego rodzaju „**dynastia kłamczuchów**”. Jolanta Kwaśniewska dowiodła już bowiem, że w kunszcie kłamania nie ustępuje nawet swemu mężowi Aleksandrowi, godnemu do zdobycia laurów antyklamcy! Dość przypomnieć choćby jak nachalnie kłamała w swoim czasie na temat rzekomego wyższego wykształcenia swego męża. Jak to precyzowała minister D. Waniek: *Pani Kwaśniewska mówiła, że dokładnie pamięta (podkr. – J.R.N.), że poznali się w czasie zdawania przez Aleksandra Kwaśniewskiego ostatniego egzaminu w toku studiów. Zapamiętała to wydarzenie dlatego, że oboje czekali pod drzwiami egzaminatora i tak się zaczęło* (cyt. za: A. Gargas „Tera Jola!”, „Gazeta Polska” z 3 grudnia 2003 r.) Kłamstwo to zostało miążdżąc przygwożdżone przez publiczne jednoznaczne wyjaśnienie rektora Uniwersytetu Gdańskiego. Stwierdził on, że Kwaśniewskiego skreślono w 1978 roku z listy studentów, bo nie zdał dwóch egzaminów i nie

otrzymał jednego zaliczenia. Sam Kwaśniewski przyznał później, że nie obronił pracy magisterskiej. Tłumaczył to tym, że machnął ręką na dyplom, gdyż ogarnęła go „straszna potrzeba wolności”. Przypomnijmy: ta rzekoma „straszna potrzeba wolności” wyraziła się u Kwaśniewskiego przede wszystkim w zlekceważeniu wartości ukończenia studiów w sytuacji, gdy nagle zabłysnęła przednim prawdziwie „wolnościowa” kariera komunistycznego aparatczyka i „wolność” od poważnych wysiłków dla napisania pracy magisterskiej!

W „Dzienniku Polskim” z 4 listopada 2003 r. przypomniał: *Niewiele osób zapewne pamięta, że podczas kampanii prezydenckiej w 1995 r. Jolanta Kwaśniewska raz po raz publicznie zapewniała, że jej mąż jest magistrem. To było wtedy bardzo ważne. Niemal ze stuprocentową pewnością można powiedzieć, że gdyby wtedy, 8 lat temu, przyznała, iż Aleksander Kwaśniewski skłamał, twierdząc, że obronił pracę magisterską, to Lech Wałęsa zostałby na drugą kadencję. W „Klubie pod Jaszczurami” natomiast z boleścią w głosie opowiadała o tym, jakim koszmarem, złym snem, wręcz nieszczęściem był dla niej wieczór wyborczy w listopadzie 1995 r., gdy stało się jasne, że jej mąż wygrał z Wałęsą. Można sobie doprawdy wyobrazić jej ogromne, niewymowne „cierpienie” z powodu triumfu jej męża, którego tak wspierała swymi kłamstwami. Dzięki nim wyborcy wybierali przecież między wykształconym rzekomo „magistrem” Kwaśniewskim a tylko absolwentem zawodówki Wałęsą!*

Z KORONOWANYMI GŁOWAMI ZA PAN BRAT

„Dynastycznym” przygotowaniom prezydentowej Kwaśniewskiej od lat towarzyszą gorączkowe wysiłki dla zdobycia jak najbliższych kontaktów, i wręcz zażyłości w kręgach monarchów. Ciekawe, że nie ukrywano tych czasami wręcz groteskowych starań nawet na łamach związanej z SLD „Trybuny”. W publikowanym tam na łamach „Magazynu Trybuny” (nr 40 z 2003 roku) panegirycznym tekście „Kobieta z kryształu” akcentowano: *Na prezydentowej zawsze wielkie wrażenie robiły osobiste spotkania z koronowanymi głowami. – „Miałam ogromną przyjemność i honor być zaproszona do królewskiej Zofii. Jej córka wyjechała i został w pałacu malutki wnuczek. Dla mnie możliwość kołysania następcy tronu, który leży na haftowanej podusi, i trzymania go za pulchną łapkę, było czymś fantastycznym. To jest trochę takie życie z bajki” („Viva”).* Te egzaltowane westchnienia o królewskiej haftowanej „podusi” dowodziły, że Kwaśniewska w swym dążeniu do zdobywania popularności nie chce stracić żadnego środowiska, łącznie z najbardziej prostymi, ale za to tym bardziej snobistycznymi gospodyniami domowymi. Kwaśniewska już coraz chętniej przechwalała się też efektami swych fraternizacji z monarchami. Na przykład w wywiadzie dla Piotra Najsztuba w „Vivie” z 17 grudnia 2001 roku zamarkowała już wątek szansy dla Kwaśniewskich na trwałe skoligacenie z rodami monarszymi. Oto – według niej – para królewska Luksemburga

wysunęła kiedyś propozycję skoligacenia 40-letniego księcia Filipa z młodą córką prezydentowej Kwaśniewskiej.

Rodzina Kwaśniewskich ogromnie zabiega o jak najpełniejsze wprowadzenie swej żeńskiej latorośli w tzw. Wielki Świat, zwłaszcza na bale miliardów i arystokratów. I tak np. córeczkę Aleksandra i Jolanty Kwaśniewskich, młodą prezydentównę, wyprawiono 1 grudnia 2001 roku na wielką eskapadę do Paryża – na wspaniały bal z udziałem 24 panien i 24 kawalerów z „dobrych domów”: księżniczek i hrabianek, córeczek miliardów etc. Profesor Tomasz Strzembosz komentował ten dość szczególnie ewenement na łamach „Tygodnika Solidarność” z 14 grudnia 2001 r. w tekście „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”: (...) *nie zdziwiła, a przy tym lekko rozbawiła łatwość, z jaką ludzie jeszcze przed laty reprezentujący „państwo proletariatu” i „partię proletariatu”, ziejącą „etatową” nienawiścią do wszelkich księży, hrabiów i szlachty (...) przyklejają się dziś do „wielkiego świata” arystokracji rodowej i finansowej, do świata „zgnitego Zachodu”. Do przedwczoraj reprezentowali ludzi ciężkiej pracy i często jeszcze cięższej nędzy, robotników oraz kolchozowe i sowchozowe chłopstwo (...), a obecnie czynią wszelkie wysiłki, aby wciśnąć się pośród tych, których jeszcze niedawno uważali za zło tego świata.*

Zabiegi Kwaśniewskiej o fraternizację z monarchiami i arystokracją nabierają coraz większego wigoru. We wspomnianej już „Trybunie”, prasowej kontynuatorce proletariackiej „Trybuny Ludu” z zapałem akcentowano, że wizerunki J. Kwaśniewskiej: *Nieraz żywo przypominają portrety królowej Elżbiety II. Powstaniu takiego wizerunku sprzyjają też dziesiątki wywiadów i wypowiedzi Kwaśniewskich, w których niemal zawsze, w takim lub innym kontekście, pojawia się motyw kontaktów z największymi rodami arystokratycznymi, udziału w imprezach organizowanych przez „błękitnokrwistych”, rozmowach, balach itp.*

DYNASTYCZNA ZAPOBIEGLIWOŚĆ

Z monarszych „cnot” Kwaśniewscy już mają jedną bardzo rozwiniętą, i to nawet w nadmiarze – zapobiegliwość w mnożeniu rezydencji i ich „hojnym” wyposażaniu. Ostatnio dowiedzieliśmy się o powstającej w Wiśle kolejnej rezydencji dla prezydenta RP. Zubożeni polscy podatnicy zapłacą ponad 22 miliony złotych za remont i przystosowanie dla prezydenta Kwaśniewskiego zameczku w Wiśle, użytkowanego w ostatnich 20 latach przez jedną ze śląskich kopalń. Na samo tylko wyposażenie kuchni w nowej rezydencji na obsługę ok. 40 osób ma być wydane 414 tys. zł. Według ocen fachowców, przeciętne normalne koszty wyposażenia kuchni tego typu przygotowującej nawet wykwintne posiłki wynosi ok. 70 osób (wg „Super Ekspresu” z 25 marca 2004 r.). Dlaczegoż miałby jednak oszczędzać prezydent RP z tak „dynastycznymi” ambicjami?

Ostatnio mieliśmy kolejny przykład „zapobiegliwości” prezydentowej Kwaśniewskiej. Wśród wilanowskich domów jednorodzinnych nagle wyrósł pomimo protestów mieszkańców z sąsiadujących domów, wielorodzinny

kilkukondygnacyjny budynek – apartamentowiec, niszczący kameralny charakter dzielnicy. Budowę przeforsowano pomimo protestów dzięki obecności w gronie inwestorów Jolanty Kwaśniewskiej (wg „Rzeczpospolitej” z 24 marca 2004 r.). Kwaśniewska była współwłaścicielką jednej z dwóch działek (działki o pow. 981 m kw.), na której zbudowano apartamentowiec, wbrew uprzedniej miążdżąco negatywnej opinii w tej sprawie ze strony Komisji Zagospodarowania Przestrzennego i Gospodarki Gruntami Rady Gminy. Jak celnie skomentowała powyższy fakt prof. Jadwiga Staniszkis, J. Kwaśniewska odsloniła w całej sprawie swą prawdziwą twarz „zimnej businesswoman”.

KREOWANIE SIĘ NA „ŚWIĘTĄ JOLANTĘ”

Pomimo że wypowiedzi prezydentowej Kwaśniewskiej **ujawniające jakiegokolwiek poglądy** są żenująco rzadkie, to jednak i tak parę z nich wystarczyło do jej całkowitego zblaznienia. Faktycznie można by je cytować jako „perełki” godne do potraktowania jako przejawy prawdziwego „humoru z zeszytów szkolnych”! Oto na przykład w styczniu 2001 r. zapytana, co myśli o nieobecności Prymasa Polski na uroczystości zaprzysiężenia A. Kwaśniewskiego na prezydenta RP, Jolanta K. odpowiedziała ze swadą, iż ją to bardzo dziwi. Przecież prezydent to *pomazaniec Boży*, wybrany przez naród (wg „Życia” z 17 stycznia 2001 r.). Wszystko przebiła jej wypowiedź na spotkaniu z licznie zgromadzoną publicznością w krakowskim „Klubie pod Jaszczurami”, gdzie sama siebie awansowała do rangi nowych świętych (!) Jak pisał Włodzimierz Knap w krakowskim „Dzienniku Polskim” z 4 listopada 2003 r. Jolanta Kwaśniewska: *jest absolutną mistrzynią mówienia o sobie w samych superlatywach, a czyni to w taki sposób, że coraz więcej Polaków jest przekonanych, iż można w jednym szeregu postawić Jolantę Kwaśniewską z Matką Teresą z Kalkuty. Pani prezydentowej chyba już teraz wydaje się, że przerosła tę wielką postać. To nie żart. – „Gdyby teraz zgasło światło, to z pewnością zobaczylibyście państwo nad moją głową aureolę. Jestem bez skazy”* (podkr. – J.R.N.) – *mówiła.*

Przypuszczalnie Jolanta Kwaśniewska nie pozwoliłaby sobie na aż tak hucpiarską samoreklamę i peany o swojej „świętości” w wypowiedziach do szerszego kręgu osób, np. w telewizji. Na spotkaniu w „Klubie pod Jaszczurami” mówiła jednak do „swoich”, w ramach Salonu postkomunistycznego „Polityki”. Wiedziała więc, że przelkną bez mrugnięcia okiem nawet jej najbardziej szokujące samochwalstwa!

II. Klany w mediach

ROBERT KWIATKOWSKI (SYN PROMINENTA Z CZASÓW JARUZELSKIEGO)

Telewizja stała się od wielu lat najgorszym przykładem szkód, jakie przynosi maksymalne upartyjnienie mediów. Wielką rolę w doprowadzeniu telewizji publicznej do tak patologicznego stanu odegrał niedawno zmuszony do wcześniejszej rezygnacji z prezesury TVP **Robert Kwiatkowski**. Stał się on prawdziwym symbolem rządzonej żelazną ręką telewizji partyjnej. W świecie mediów i polityki ironicznie nazywa się go „Brunatnym Robertem” (wg „Rzeczpospolitej” z 8 lutego 2003 r.). Reżyser Kazimierz Kutz, skądinąd związany z tak długo hołubioną przez Kwiatkowskiego Unią Wolności, w wywiadzie na łamach „Przekroju” nazwał R. Kwiatkowskiego *współczesnym politrukiem, młodym komisarzem partyjnym*. Zastanawiając się nad źródłami nader twardych działań R. Kwiatkowskiego w upolitycznianiu telewizji, wielu widzi w tym jego podejściu sporo cech odziedziczonych po **ojcu – płk. Stanisławie Kwiatkowskim**, jednym z najbliższych doradców gen. Jaruzelskiego. Uważany za „pieszczocha reżimu” płk Stanisław Kwiatkowski w latach 1982-1990 kierował utworzonym przez siebie Centrum Badania Opinii Publicznej. Centrum podlegało rządowi Jaruzelskiego i jego postkomunistycznym następcom, co wyraźnie „owocowało” w wynikach dostarczanych przez niego badań. Były one wyraźnie manipulatorskie, dokonywane pod kątem maksymalnego wyupuklania rzekomych sukcesów władzy gen. Jaruzelskiego, przy równoczesnym groteskowym wręcz stopniu pomniejszania znaczenia opozycji. Na przykład według badań kierowanego przez płk. Kwiatkowskiego CBOS-u Wolną Europę w Polsce słuchało zaledwie 2 proc. społeczeństwa. Podobnie mało, rzekomo tylko parę procent społeczeństwa miało stanowić bazę potencjalnego poparcia dla opozycji (por. polemikę z tego typu wywodami płk. Kwiatkowskiego napisaną przez E. Wnuk-Lipińskiego na łamach „Res Publici” z grudnia 1998 r.).

Sam płk Kwiatkowski kiedyś nieopatrznie „zdradził się” jak tendencyjnie podchodzi do badań opinii publicznej. W „Biuletynie CBOS” (nr 1 z 1985 roku) deklarował: *Będziemy w miarę możliwości starać się określać i uzupełniać stan wiedzy o faktycznym położeniu społeczno-ekonomicznym klasy robotniczej na tle innych klas i warstw. Z biegiem czasu zaczniemy więc pełnić również funkcję ideologiczną. I stąd – prawdę mówiąc – ta bezstronność wynikająca z rzetelności naukowej, staje się w realizacji klasowa, a więc stronicza dla interesów robotniczych*. „Stronnicza bezstronność”, którą wynalazł płk Kwiatkowski okazała się fatalna w skutkach dla PZPR. Szef CBOS swoimi wielce obiecującymi dla władzy optymistycznymi

sondażami sprzed wyborów w czerwcu 1989 roku fatalnie uspił bowiem otoczenie gen. Jaruzelskiego i Rakowskiego. A potem przyszła straszna wyborcza kłapa! Warto dodać do tego wszystkiego znane zacierzowanie płk. Kwiatkowskiego we wszelkiego typu polemikach. K. Kutz pisał w liście do płk. Kwiatkowskiego z 29 stycznia 2003 roku, drukowanym na łamach „Przekroju”: *Pan (...) obok donosu schodzi na poziom zniewag osobistych, za którymi czai się nienawiść osobista i ideologiczna*. Wiele z tych brutalnych cech ojca – pułkownika najwidoczniej odziedziczył i jego syn, prezes TVP Robert Kwiatkowski.

Młody Robert Kwiatkowski szybko postawił – śladem ojca – na PZPR-owską władzę, zaraz po studiach rozpoczynając pracę w centrali ZSP przy Ordynackiej i wstępując do PZPR. Tak tłumaczył to już po latach: *Zero ideologii. Wstępowałem do PZPR jako partii władzy, ale nie widziałem w tym nic złego. To był oportunizm* (wg tekstu Luizy Zalewskiej w „Rzeczpospolitej” z 8 lutego 2003 r.). Szybko, podobnie jak ojciec, postawił na prorządową propagandę. W 1986 r. jako dwudziestopięcioletni wówczas przewodniczący Wydziału Propagandy Rady Uczelnianej UW ZSP „uczcił” X Zjazd PZPR „odpowiednim” artykułem na łamach „Studenta”, popierającym PZPR i wyrzekającym na kapitalizm. Już po upadku systemu – w 1991 roku awansował na przedstawiciela ZSP w kontrolowanym przez Moskwę i uważanym za jej agenturę Międzynarodowym Związku Studentów w Pradze, skąd jednak już w 1992 roku powrócił do kraju. Znajomościom ojca zawdzięczał nagłe rozpoczęcie kariery w zupełnie innej dziedzinie. Powierzono mu kierowanie warszawskim biurem niemieckiej agencji reklamowej EBD, choć jak sam później przyznawał na łamach „Press”: *Nie odróżniał wtedy przelewu od wyciągu*.

Starzy wpływowi znajomi z ZSP szybko zadbali o przyspieszenie jego kariery wraz z pierwszym wyborczym triumfem postkomunistów. Pod koniec 1993 r. z inicjatywy Marka Siwca Krakowa Rada Radia i Telewizji powołała R. Kwiatkowskiego do rady nadzorczej Polskiego Radia. Wkrótce zaczęła się jego zażyła komitywa z ówczesnym przywódcą postkomunistów Aleksandrem Kwaśniewskim, która miała stać się główną dźwignią jego dalszej kariery. Zaangażował się w pierwszej kampanii prezydenckiej A. Kwaśniewskiego, głównie na falach telewizji. To on pozyskał dla kampanii Kwaśniewskiego francuskiego specjalistę od reklamy politycznej Jacquesa Sequelę. Wraz z Sequelą układali pomysły chwytów na podirytowanie Wałęsy w czasie debaty telewizyjnej w stylu niby to przypadkowego spóźnienia się Kwaśniewskiego do studia telewizyjnego. Dzięki Kwaśniewskiemu jako nowemu prezydentowi został jako członkiem KRRiTV w miejsce Siwca. Pozostał w bardzo bliskich związkach z Siwcem mimo ogromnych różnic charakteru. W „Rzeczpospolitej” cytowano wypowiedź jednego z członków KRRiTV: *Siwiec to taki brat tata, równiacha. A Kwiatkowski to zimny technokrata*. Określano go jako *przedstawiciela pokolenia postkomunistycznych „młodych wilków”, dla których liczy się nie ideologia, ale władza i kasa* (wg Ł. Perzyny w „Tygodniku Solidarność” z 21 lutego 2003 r.).

Jako członek najwyższych władz radia i telewizji zrobił wszystko dla przeksztalcenia ich w czołowy bastion politycznych wpływów lewicy w 1977 r. przeprowadzając skuteczną wymianę władz w radach nadzorczych telewizji publicznej i radia. Efekt tych jego działań skomentowano jako: *Czarny dzień polskich mediów*. Postkomunistyczni protektorzy zadbali o odpowiednie uhonorowanie tych działań Kwiatkowskiego – 2 1998 r. został mianowany prezesem Zarządu TVP SA. W wygraniu rywalizacji o stołek prezesa ogromne znaczenie miał fakt, że Kwiatkowski równocześnie korzystał ze wsparcia dwóch różnych pokoleń środowisk lewicy. Jak pisano w „Rzeczpospolitej” z 8 lutego 2003 r. Kwiatkowski: *Dzięki ojcu poznał generała i wielu ważnych ludzi schyłku PRL. Dzięki działalności w ZSP zyskał kontakty i poparcie „młodych”, czyli Kwaśniewskiego i Siwca.*

Luiza Zalewska tak komentowała w „Rzeczpospolitej” poczynania Kwiatkowskiego jako szefa telewizji publicznej: *Nie miał żadnych sentymentów, żadnych skrupułów. Stopniowo likwidował programy, które prezentowały inny niż liberalny i lewicowy stosunek do świata. Najpierw z ramówki spadły „Opinie”, potem „Fronda” (...). Pod rządami Kwiatkowskiego TVP firmuje wielkie skandale – wywiad Piotra Gembarowskiego z Marianem Krzaklewskim w czasie kampanii w 2000 r., atak na braci Kaczyńskich i oskarżenia, że korzystali z pieniędzy FOZZ w kampanii w 2001 r. (...). Telewizja Kwiatkowskiego nie miała czasu na transmisję zjazdu „Solidarności” w 20. rocznicę związku, ale znalazła czas na transmisję meczu artystów, któremu przyglądała się prezydentowa. TVP nie pokazała Kwaśniewskiego, który chwiał się na nogach pod pomnikiem polskich oficerów w Charkowie, ale na żywo transmitowała jak prezydent przecinał wstęgę pod pomnikiem Chopina w Łazienkach.*

Były szef Krajowej Rady Radia i Telewizji, poseł PiS Marek Jurek podsumowywał dość szczególne „zasługi” Kwiatkowskiego dla telewizji publicznej słowami: *Wykorzystuje przewagę polityczną do prowadzenia za pomocą publicznej stacji nagonki na przeciwników SLD* (cyt. za „Rzeczpospolitą” z 8 lutego 2003 r.). Mówiąc o Kwiatkowskim dla „Rzeczpospolitej” poseł M. Jurek akcentował: *Dla mnie to też była ciekawa postać. Raził go na przykład przymiotnik „sowiecki”. Gdy ktoś rzucił na posiedzeniu coś o sowieckiej inwazji, aż się zatrzęsł. Równie alergicznie jak na złe słowa o PRL, reagował na Kościół. Poprosiłem kiedyś, by w spornej sprawie poprosić o opinię duchownego, teologia moralnego. Kwiatkowski odpart wtedy: „Po to tu pracuję, abyśmy takich ludzi o zdanie nie musieli pytać”.*

Wszzechwładzę R. Kwiatkowskiego w TVP-ku jego straszemu zaskoczeniu przerwały ostatecznie skutki afery Rywina. Na próżno podczas przesłuchań w tej sprawie szedł dosłownie „w zaparte”, próbując zanegować jakąkolwiek swoją rolę w całej aferze. Konsekwentnie próbował uciekać się do argumentów o zaniku pamięci, nadrabianych zgrabnymi ogólnikami. Przesłuchania komisji śledczej i informacji prasowe wyraźnie mnożyły jednak obciążające go dowody. W „Rzeczpospolitej” z 8 lutego 2003 r. tak akcentowano bliskie związki R. Kwiatkowskiego z Rywinem, pisząc: *To on nieraz (sam i z żoną) wypoczywał w mazurskiej daczce Rywina zeszłego lata. To na niego*

uskażał Rywin pytany, z czyjej inspiracji zaproponował w lipcu ubiegłego roku Agorze układ – będzie mogła kupić Polsat, gdy zapłaci 17,5 mln dolarów, które zasilą SLD. Oskarżenia Rywina (który ostatnio w liście do Kwiatkowskie bar-dzo go za to przeproszał) słyszeli naczelny „Gazety Wyborczej” Adam Michnik i premier Leszek Miller. To m.in. billingów Kwiatkowskiego i wykazu jego wizyt w Kancelarii Premiera oraz listy zapraszanych do jego gabinetu gości domagała się (bezsukcesownie) opozycja w sejmowej komisji śledczej.

I tak wreszcie doszło do rzeczy jeszcze rok wcześniej niewyobraźalnej. W końcu największy bonza w telewizji, w całej jej historii po 1989 roku, został zmuszony do przedwczesnej rezygnacji.

JANUSZ ZAORSKI, SYN PRL-OWSKIEGO WICEMINISTRA

Telewizja polska ma wyraźnego pecha do synów PRL-owskich prominentów. Na długo przed R. Kwiatkowskim fatalnie zaciążyły na niej rządy **Janusza Zaorskiego, syna PRL-owskiego wiceministra kultury w dobie Gomułki Tadeusza Zaorskiego**. Tadeusz Zaorski (senior) jako wiceminister nadzorował kinematografię polską w „odpowiednim stylu”. Pod jego zarządem kinematografia ta wyspecjalizowała się w ciągłych bezlitosnych rozrachunkach z narodową historią, a zwłaszcza w pełnych fałszów atakach na polskie powstania i na tzw. bohaterstwach. Mając tak wpływowego ojca, Janusz Zaorski nieprzypadkowo zadebiutował jako reżyser już w wieku 23 lat, wcześniej niż ktokolwiek inny w polskim kinie. W 1968 roku pozycja jego ojca uległa jednak degradacji w efekcie wydarzeń marcowych. Sam J. Zaorski uskarżał się w rozmowie publikowanej na łamach „Rzeczpospolitej” z 20 września 1997 r., że w marcu 1968 roku zaatakowano jego ojca jako „filosemitę”. W łódzkiej prasie dostało się również samemu J. Zaorskiemu, którego oskarżono o „kosmopolityzm”. Największym sukcesem Zaorskiego stał się nakręcony w latach 80. film „Matka Królów”, łzawy film fabularny o tragedii komunistów w dobie stalinizmu. (Rzecz znamienna: Zaorski eksponował tragedię niesłusznie napiętnowanych komunistów w odniesieniu do czasów, gdy dużo gorsze prześladowania spotykały patriotyczną i wierzącą niekomunistyczną część Narodu).

Jako prezes zarządu telewizji Zaorski jednoznacznie realizował politykę sprzyjającą dekomunizacji, a zarazem antypatriotyczną i pełną uprzedzeń wobec Kościoła. To on pierwszy na szeroką skalę przyjął „pionierską” zasadę „zsyłania” niewygodnych, bo patriotycznych czy rozliczeniowych programów na najgorszy czas telewizyjny około północy i w późniejszych godzinach. To za kadencji Zaorskiego doszło do najobrzydliwszego obrażenia uczuć religijnych ogromnej większości Polaków. W tzw. kabarecie „Big Zbig Show”, pokazanym w poniedziałek wielkanocny 12 kwietnia 1993 r. bluźnierczo sparodiował wstrząsającą modlitwę Jezusa w Ogrójcu.

Jako syn komunistycznego prominenta J. Zaorski okazał się szczególnie dobrze „przygotowany” do zapewnienia jak najszerzej komunistycznej konkwesty na terenie telewizji. Działania dla stopniowego i cichego rehabilitowania PRL-u łączył ze skrajną postawą „internacjonalistyczno-ateistyczną”, stwarzającą puklerz ochrony dla wszystkich ataków na patriotyzm i Kościół katolicki. Nader celnie określił rolę telewizji pod egidą Zaorskiego Jerzy Mikke w książce „Chwała i zdrada”, pisząc, że: *ekipa Zaorskiego stworzyła system depolonizacji naszego społeczeństwa; funkcjonujący bez porównania skuteczniej niż w czasach Macieja Szczepańskiego czy Jerzego Urbana, choć ówczesna opozycja intelektualna wobec reżimu mawiała o gmachu na Woronicza jak o „imperium „Zła”* (J. Mikke „Chwała i zdrada”, Warszawa 1994, s. 140). Dodajmy, że Janusz Zaorski jako prezes telewizji „wzbogacił” program małego ekranu o własny serial starannie deformujący polską historię – „Panny i wdowy” na podstawie scenariusza Marii Nurowskiej. Uznawszy, że oryginał Nurowskiej jest nazbyt „bogoojczyźniany” jak na jego gusty, Zaorski zabrał się do drastycznych poprawień, aby odpowiednio zmienić cały scenariusz na „ateistyczno-internacjonalistyczny” (por. uwagi M.A. Kowalskiego „Pisarka i gwalciciel”, „Nowy Świat” z 14 grudnia 1992 r.). Marek Arpad Kowalski tak pisał o nadanej przez Zaorskiego wymowie serialu: *Komuniści są prześladowani przez represyjny aparat państwa burżuazyjnego (...) mordowani, żyją w nędzy, zaś burżuazja i ziemiaństwo pławią się w rozkoszach pałacowych i jeżdżą do Paryża*. Na dodatek w serialu pojawiły się rozliczne drwiny z historii Polski i religii.

Z oburzeniem zaprotestowała autorka pierwowzoru literackiego do serialu „Panny i wdowy” pisarka Maria Nurowska, pisząc w liście do „Gazety Wyborczej” z 17 listopada 1992 r.: *Pierwszy odcinek „Pani i wdów” w reżyserii Janusza Zaorskiego, obecnego prezesa telewizji, jest parodią, a nawet kpinią z Powstania Styczniowego, ze związku kobiety z mężczyzną, nawet z religii (...)*. Zdzisław Bielecki, atakując serial Zaorskiego za wyszydzanie wartości narodowych drogi dla Polaków, pisał w „Polsce Dzisiaj” (nr 5 z marca-kwietnia 1993 r.): *(...) Historia jest strażniczką narodu. Wypaczanie historii jest jak otwieranie granic przed najeźdźcami ducha. Te wartości, dzięki którym przetrwaliśmy jak Polacy lata zaborów, te wartości, które pchały nas do powstańczych zrywów, które pomogły przetrwać hitlerowską okupację i stalinowskie bezprawie, które zrodziły „Solidarność”, te wartości ośmieszają film „Panny i wdowy” (...)*.

Rozliczne protesty przeciwko deformującej i szkalującej dzieje Polski wymowie serialu Zaorskiego drukowano również na łamach codziennej prasy. M.in. Czesław Pawluczuk, piętnując takie „splugawienie historii Polski”, piętnował wydawanie publicznych pieniędzy na tego typu produkcje i ubolewał: *szkoda, że nie ma u nas partii obrony kultury i historii Polski* (por. „Życie Warszawy” z 3 grudnia 1992 r.).

W październiku 1993 r. telewizja wznowiła nakręcone w latach 80. „Jezioro Bodeńskie” w reżyserii Janusza Zaorskiego. Film był jednoznacznym atakiem na polskość, która rzekomo dusi i przygniata. Recenzujący spektakl

Zaorskiego Marek Arpad Kowalski, ubolewał na łamach „Myśli Polskiej” z 16 listopada 1993 r. z powodu „szydzenia” z polskości przez reżysera dla „samego szydzenia”, pisał o dziwnych polskich intelektualistach, którzy *drżą ze strachu, gdy słyszą o polskości, narodzie, tradycji*.

Prawdziwym „pójściem na całość” w przyciemnianiu Polaków był wprowadzony na ekrany we wrześniu 1997 roku film Zaorskiego „Szczęśliwego Nowego Jorku”. Już w tytule wywiadu na temat tego filmu w „Gazecie Wyborczej” (z 26 września 1997 r.) zaakcentowano: *My, Polacy, mamy mordy i ryje i dobrze, że Redliński to powiedział – mówi Janusz Zaorski*. Film przynosił skrajnie zniekształcony, ciemny obraz amerykańskiej Polonii.

Janusz Wróblewski, przeprowadzający wywiad z Zaorskim w „Życiu”, wyraził swe osobiste zastrzeżenia przeciwko skrajnie ciemnemu obrazowi Polaków danemu we wspomnianym filmie. Począwszy od portretowania amerykańskiej Polonii w krzywym zwierciadle, odwołującym się do stereotypów, utrwalonych głównie w latach komunizmu po skrajnie negatywne uogólnienia na temat Polaków jako takich. Mówił: *Wysłuchując upokarzających tyrad o polskich mordach, odczuwam wstyd. Nie dlatego, że boję się spojrzeć w lustro, tylko z powodu zapiekłej nienawiści i niezrozumiałych kompleksów tych, którzy życzliwie mi przypominają, jacy to jesteśmy paskudni. Sądzi pan, że wizerunek Polaka-katolika: pijanego, mściwego półanalfabety uciąż nas obowiązuje? Zaorski odpowiedział: Tak. Nic się nie zmieniło. A jeśli to na gorsze. Jesteśmy narodem nietolerancyjnym, szczerze się nienawidzącym* (cyt. za rozmową J. Wróblewskiego z J. Zaorskim „Krzywe zwierciadło”, „Życie” z 26 września 1997 r.). Te wszystkie pełne zapiekłej nienawiści sądy o Polakach i polskim zaścianku wydaje człowiek szczególnie mocno odpowiedzialny za upadek polskiej telewizji, którą traktował głównie jako dogodny miejsce dla niezwykle opłacalnego eksponowania „talentów” całej swojej rodziny.

Jako prezes Zarządu TVP Zaorski bardzo troszczył się o odpowiednie promowanie swojej rodzinki, począwszy od żony, która jako szefowa spółki Vilm Production produkowała bardzo kosztowny program „Polskie Zoo”. Już po odejściu Zaorskiego z szefowania Zarząd TVP NIK ujawnił, że: *TVP oddała producentowi „Polskiego Zoo” – firmie żony Janusza Zaorskiego – wszystkie prawa do programu, choć w całości pokrywała rosnące koszty jego produkcji* (wg „Gazety Wyborczej” z 3 lutego 1994 r.). Przypomnijmy, że w „Tygodniku Solidarność” (nr z 27 sierpnia 1993 r.) zapytano Zaorskiego: *Ilu pan ma krewnych, którzy pracują dla telewizji i dzięki telewizji zarabiają?* Zaorski odpowiedział: *Brat jest aktorem, a bratowa „robi” światło (bo takie uzyskała wykształcenie) w telewizji i tylko ona jest na etacie w TVP. Żona jest niezależnym producentem, pracuje też dla innych telewizji. Czy to źle, że mam zdolnego brata, bratową i żonę?* (podkr. – J.R.N.).

Janusz Zaorski sam pokazał też niebywałe zdolności rodzinne do samoreklamy. W parę dni po odejściu z prezesury Zarządu TVP wykorzystał swą uprzednią pozycję do podpisania umowy na nakręcenie w łódzkim ośrodku telewizyjnym serialu o samym sobie (Mail napisać jego tekst, wyreżyserować i

oczywiście zagrać). Podpisał umowę na napisanie scenariuszy 15 odcinków tego serialu o wymownych tytułach: „Perforowana pępowina” (o swoich narodzinach), „Debiut” etc. Umowę podpisał 3 stycznia 1994 r. ze swym jeszcze parę dni przedtem podwładnym T. Filipczakiem, szefem ośrodka łódzkiego. Umowę podpisano bezprawnie, bez uzgodnienia z zarządem TVP, wbrew zaleceniom nakazującym takie uzgadnianie w przypadku umów powyżej sumy 500 mln zł. Za pierwsze osiem odcinków telewizja zapłaciła Zaorskiemu 1 mld 120 zł; wstrzymano dopiero wypłatę za kolejnych siedem odcinków (por. A. Kublik „Prezes odcięty od pępowiny”, „Gazeta Wyborcza” z 4 czerwca 1994 r.). Kolejny przypadek dobrze ilustrujący jak ludzie z „elitki” dbają o swoje zabezpieczenie finansowe kosztem Narodu, którym gardzą i który ośmieszają.

Nader kabotyński wydawał się sam pomysł nakręcenia piętnastoodcinkowego serialu o samym sobie. Trudno się więc dziwić złośliwemu pytaniu, jakie skierował w tej sprawie do Zaorskiego dziennikarz „Życia Warszawy” Rafał Szubstarski: *Czy dwa lata na fotelu prezesa upłynęły na pana tak wyjawiająco, że nie mógł pan wymyślić innego tematu serialu niż pan sam?*

„JADOWITA” OLEJNIK, CÓRKA PUŁKOWNIKA MSW

Najbardziej nagłaśnianą „gwiazdą” lewicowej publicystyki w radiu i telewizji jest od lat **Monika Olejnik**. Od dawna „wyróżnia się” skrajną jadowitą agresywnością wobec wielu polityków z prawicowej orientacji patriotycznej. Tym chętniej za to promowała w swych programach ludzi z tendencji lewicowych i antypatriotycznych (od tak ulubionego przez nią Adama Michnika po zajadłego anty-Polaka Jana Tomasza Grossa). W swych pytaniach i komentarzach w czasie audycji dawno zatraciła poczucie niezbędnego obiektywnego dziennikarskiego dystansu ze strony redaktora prowadzącego audycję. Dość przypomnieć, że oberwało się od niej nawet Życie Gilowskiej, którą „poczęstowała” niedopuszczalnym z punktu widzenia etyki dziennikarskiej pytaniem: *Czy żałuje Pani swego żalosego* (podkr. – J.R.N.) *wystąpienia*. Zaślepiona dążeniem do wymuszenia oczekiwanej przez nią „należytej” wypowiedzi uparcie prze jak czołg, powtarzając te same pytania. Pamiętam, jak z 5 lat temu w czasie audycji o UE, w której uczestniczyłem razem z J. Łopuszańskim, A. Potockim i T. Iwińskim, zadała nam wszystkim pytanie: *Za czy przeciw Unii?* Trzykrotnie odpowiadałem na nie zgodnie z moim przekonaniem: - *Bilans zysków i strat!* – nie chcąc zaakceptować automatyzmu tak lub nie, który próbowała wymusić Olejnik.

Poglądy Olejnik dobrze ilustruje jej rola w nagłośnieniu czołowego polakożercy – hochsztaplera Jana Tomasza Grossa. Popularyzując go w swojej „Kropce nad i” Olejnik starannie „zadbała”, aby nie miał w jej programie żadnego twardego przeciwnika, znającego prawdę o wojennej historii Polaków i Żydów. Świadomie wybrała dla Grossa możliwie najbardziej ignoranc-

kiego i... potulnego uczestnika dyskusji – biblistę (!) księdza Michała Czajkowskiego!

Ten dość dziwny duchowny znany jest ze skrajnej prożydowskiej stronnictwością kosztem Kościoła katolickiego (krytykował go za to sam Prymas Polski Józef Glemp). I oto właśnie jego wybrała Olejnik do reprezentowania strony polskiej i katolickiej w rozmowie z antypolskim oszczercą J.T. Grosse. Ks. Czajkowski od razu na wstępie pokazał, jak gruntownie nie jest przygotowany do takiej dyskusji. Powiedział: *Nie jestem historykiem, nie znam dokumentów, ale znam Pana książkę*. Biblista ks. Czajkowski uznał więc, że nie musi być historykiem, znać się na historii, a wystarczy mu przeczytanie jednej książki – Grossa, aby zabierać publicznie głos przy milionach telewidzów na temat jakże trudnych spraw najnowszej historii. Ale o to właśnie chodziło Olejnik w jej doborze rozmówcy dla Grossa – znaleźć odpowiedniego „potakiewicza” ze strony polskiej, który uwiarygodni antypolskiego fałszerza.

Przypuszczalnie prawdziwym kluczem do zrozumienia przyczyn tak wielkiej lewicowej tendencyjności i agresywności M. Olejnik jest jej „odpowiedni” rodowód. Pisano już, że ten rodowód wyraźnie ułatwił jej, **zootechnicze z wykształcenia**, zrobienie przyspieszonej kariery w mediach wkrótce po rozpoczęciu przez gen. W. Jaruzelskiego „wojny z Narodem”. Kamil Śmiłowski we „Wprost” z 8 lutego 2004 r. cytował dość szczególne zwierzenia na ten temat pióra byłego gwiazdora telewizji doby Jaruzelskiego – Tadeusza Zakrzewskiego: *Monikę Olejnik wciśnięto do radia w pieruszym okresie stanu wojennego na polecenie komisarza wojennego. Za tą decyzją stał jej ojciec, pułkownik, szef ważnej jednostki MSW*. Czyżby więc jednym z głównych źródeł agresywnej lewicowości publicystycznych wypadów M. Olejnik były poglądy odziedziczone od ojca – pułkownika MSW?!

Jaskrawym przykładem dziedziczenia fobii antykościelnych po komunistycznych antenatach wydają się niektóre wystąpienia telewizyjne **Piotra Kraśki, wnuka** sławetnego PZPR-owskiego prominenta (przez lata **kierownika wydziału kultury w KC PZPR) – Wincentego Kraśki**. To właśnie Piotr Kraśko prowadził niezwykle ostro atakujący Radio Maryja, a w istocie rzeczy godzący i w Kościół program „Oblicza mediów”, nadany w telewizji publicznej 18 września 2002 roku (w programie I). W czasie programu Kraśko starał się odpowiednio „podgrzewać atmosferę” przeciwko Radiu Maryja, wprowadzając kolejne nowe punkty ataku na to Radio.

ZAŁGANY RODOWÓD ADAMA MICHNIKA

Jarosław Kaczyński, opisując kiedyś zachowanie Michnika, podkreślał jego niebywałą skłonność do kłamstwa, to, że potrafi łączyć w żywe oczy, dosłownie iść w zaparte. Trzeba przyznać, że szczyt łgarstwa osiąga Michnik już przy najnowszych opisach rodowodu swojej rodziny. Kiedy na przykład stara się maksymalnie wybielić postać swego ojca Ożjasza Szechtera, członka Komi-

tetu Centralnego Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. I pisze o nim, że czuł się on jak *absolutnie polski Polak* („Między Panem a Plebanem”, Kraków 1995, s. 50). Nie wyjaśnia tylko nigdzie, co ten *absolutnie polski Polak* szukał w Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i jak zawędrował na sam jej wierzchołek z tą swą rzekomą *dumą z polskiej tożsamości* (tamże, s. 50). Przypomnijmy, że Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy konsekwentnie dążyła do rozbitcia Polski, oderwania wielkiej części jej ziem i przyłączenia do już rasyfikowanej skrajnym sowieckim terrorem wschodniej Ukrainy. Dodajmy, że według książki H. Piecucha „Akcje specjalne” (Warszawa 1996, s. 76) ten *absolutnie polski Polak* Ozjasz Szechter był starym, wypróbowanym agentem Moskwy w Polsce. I wchodził wraz z Brystygierową, Bermanem, Chajnem, Groszem, Kasmanem i innymi w skład wydzielonej komórki, bezpośrednio podporządkowanej Moskwie.

Według najlepszego jak dotąd opracowania dziejów przedwojennych komunistów pióra Jana Alfreda Reguły (Mitzenmachera), Szechter, bardzo znany działacz KPZU, został aresztowany wraz z grupą innych działaczy KPZU jesienią 1930 r. Jak pisze Reguła: *Oskarżeni sypali innych towarzyszy partyjnych (...) przodowali w tym komuniści, zajmujący stanowiska kierownicze (...) okazało się, że ci bohaterowie byli skończonymi tchórzami* (J.A. Reguła „Historia Komunistycznej Partii Polski”, Warszawa 1934, s. 243). Michnik w wywiadzie z Danielem Cohn-Benditem stwierdził: *Mój ojciec był bardzo znanym działaczem komunistycznej partii przed wojną, siedział osiem lat w więzieniu. Po wojnie nie odgrywał żadnej roli. Nie odgrywał, bo nie chciał jej odgrywać* (cyt. za: L. Żebrowski *Paszkwil „Wyborczej”*, Warszawa 1995, s. 35). Zdaniem Żebrowskiego (op.cit., s. 35): *Bardziej prawdopodobne jest jednak to, iż z powodu zaszłości nie powierzono mu wysokich funkcji partyjnych*. Ze zwierzeń Michnika w „Polityce Polskiej” dowiadujemy się również, że od ojca już w pierwszych rozmowach otrzymał *niezwykle mocny zastrzyk myślenia antyreżimowego*. Był to rzeczywiście „mocny” zastrzyk, jeśli nie przeszkodził Michnikowi już w młodości w działaniu przez lata w komunistycznym „czerwonym harcerstwie” walterowców, a jeszcze podczas swego procesu w 1969 r. w gromkich zapewnieniach, że jest komunistą!

BRAT - MORDERCA SĄDOWY

W „Między Panem a Plebanem” (op.cit., s. 50) znajdujemy kolejne łgarstwo Michnika o ojcu: *Przez wszystkie lata bardzo konsekwentnie unikał peerelowskiej kariery*. Jak więc wytłumaczyć piastowanie przez Ozjasza Szechtera, w czasach stalinowskich, stanowiska zastępcy redaktora naczelnego skrajnie serwilistycznego organu związków zawodowych – „Głosu Pracy” (od 1 stycznia 1951 do 11 marca 1953 r.). Ciekawe, że szefem Szechtera w tej gazecie kadłubowych związków zawodowych był Bolesław Gebert, ojciec obecnego podwładnego Michnika – Dawida Warszawskiego (Geberta).

Wpływ wychowawczy „wielkiego antykomunisty” Ozjasza Szechtera jakoś nie zaszkodził w PRL-owskiej karierze starszego brata Adama – mordercy

sądowego Stefana Michnika. Należy on do grupy stalinowskich katów, którzy winni odpowiadać przed sądem Rzeczypospolitej za zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu. Prezes Sądu Najwyższego Adam Strzembosz pisał na łamach „Rzeczypospolitej” (z 18 marca 1996 r.) o kapitanie Stefanie Michniku jako członku jednej z dwóch grup sędziów najbardziej odpowiedzialnych za mordercze wyroki. Był on bowiem członkiem grupy sędziów, którzy orzekali wyroki śmierci w sprawach, w których doszło później do pełnej pośmiertnej rehabilitacji osób skazanych na śmierć.

Jeszcze jako młody podporucznik Stefan Michnik został dopuszczony do sądenia spraw oficerów dużo wyższych od niego stopniem. Niejednokrotnie wchodził do składów sędziowskich w warszawskim Wojskowym Sądzie Rejonowym, który miał najwięcej spraw „ciężkiego kalibru” o wielkim politycznym znaczeniu, oczywiście spraw całkowicie sfabrykowanych. Wyrokował w tzw. sprawach tatarowskich.

Stefan Michnik nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Sądził tak, jak od niego oczekiwano, nieuczciwie i bezwzględnie, wydając surowe wyroki, w tym wyroki śmierci na osoby całkowicie niewinne. I został za to dobrze wynagrodzony, awansując w 1956 r. w wieku zaledwie 27 lat do stopnia kapitana. Jako podporucznik był sędzią wydającym wyroki w sfabrykowanych procesach majora Zefiryndy Machalli, pułkownika Maksymiliana Chojeckiego, majora Jerzego Lewandowskiego, pułkownika Stanisława Weckiego, majora Zenona Tarasiewicza, pułkownika Romualda Sidorskiego, podpułkownika Aleksandra Kowalskiego (por. „Dokumenty. Mieczysław Szerer. Komisja do badania odpowiedzialności za łamanie praworządności 10 czerwca 1957”, paryskie „Zeszyty Historyczne”, 1979, nr 49, s. 156-157, i J. Poksiński „My sędziowie, nie od Boga...”, Warszawa 1996, s. 276). Wydał w tych procesach surowe wyroki, w tym kilka wyroków śmierci.

10 stycznia 1952 r. stracono w wieku 37 lat skazanego na śmierć przez Michnika majora Zefiryndy Machallę (został zrehabilitowany pośmiertnie 4 maja 1956 r.). Stefan Michnik wydał wyroki śmierci również na byłego polskiego attaché wojskowego w Londynie, pułkownika M. Chojeckiego i na majora J. Lewandowskiego. Ci mieli więcej szczęścia, wyroku nie wykonano. W przypadku płk. Chojeckiego zdecydowało to, że wiceminister MBP Romkowski chciał wykorzystać Chojeckiego jako świadka w innym procesie. Dzięki temu Chojecki dożył do 1956 r., a 28 marca 1956 r. jego sprawa została umorzona z powodu całkowitego braku dowodów winy. 8 grudnia 1954 r. zmarł w niecały miesiąc po udzieleniu mu przerwy w wykonywaniu kary więzienia skazany przez Michnika na karę 13 lat więzienia płk Stanisław Wecki, były wykładowca Akademii Sztabu Generalnego, przez dwa lata więzienia torturowany, pośmiertnie uniewinniony (por. J. Poksiński „TUN”, Warszawa 1992 r.). Ciężkie przejścia więzienne przyspieszyły śmierć innego skazanego przez Michnika (na 12 lat więzienia) płk. Romualda Sidorskiego, byłego naczelnego redaktora „Przeglądu Kwatermistrzowskiego”. W marcu 1955 r. ze względu na bardzo zły stan zdrowia udzielono mu przerwy w odbywaniu kary; zmarł wkrótce. Został pośmiertnie zrehabilitowany 25 kwietnia 1956 r.

Wyroki śmierci w głośnych sprawach wysokich oficerów z grupy generała Tataru wcale nie były jedynymi wyrokami śmierci, które orzekł Stefan Michnik. Tylko że te inne wyroki – w sprawach oficerów podziemia niepodległościowego są dużo mniej znane. Tak jak podpisany przez Stefana Michnika wyrok śmierci na majora Karola Sęka, który miałem możliwość oglądać w listopadzie 1994 r. na wystawie na UMCS w Lublinie, uczestnicząc tam w panelu na temat „Żołnierze Wyklęci” (tj. żołnierze polskiego niepodległościowego podziemia po 1994 r.). Major Karol Sęk, artylerzysta spod Radomia, przedwojenny oficer, potem oficer Narodowych Sił Zbrojnych, został stracony z wyroku sędziego wojskowego Stefana Michnika w 1952 r.

Stefan Michnik *niewiele rozumiał, ale podpisywał wyroki śmierci i czuwał nad ich wykonaniem*. A były to wyroki godzące w najlepszych polskich patriotów. Tak, jak w przypadku kierowanego przez Stefana Michnika wykonania wyroku śmierci na wspaniałym polskim patriocie Andrzeju Czaykowskim, Cichociemnym, powstańcu warszawskim, zastępcy dowódcy połączonych baonów „Oaza-Ryś” na Mokotowie i Czerniakowie. Odznaczonym za bohaterstwo w walce z Niemcami Krzyżem Virtuti Militari. Zamordowano go na Mokotowie 10 października 1953 r. pod nadzorem porucznika Stefana Michnika (por. opis tej tragedii pióra P. Jakuckiego „Zamordowany za patriotyzm”, „Gazeta Polska”, 20 października 1994 r.).

HAŃBA DOMOWA

Myszę, że sprawa brata – stalinowskiego zbrodniarza stanowi jeden z kluczy, wyjaśniających ciągły flirt Adama Michnika z komunistami po czerwcu 1989 r. Chodziło o łączący go z nimi równie głęboki strach przed rozliczeniami i pełnym pokazaniem „hańby domowej” czy „hańby rodzinnej”. Mając stalinowskiego kata w rodzinie, Michnik robił wszystko, aby nie doszło do prawdziwych rozliczeń ze zbrodniami komunizmu, opublikowania ksiąg hańby, bo uznał to za niezwykle groźne dla własnej legendy.

Przypomnę tu, że Adam Michnik usprawiedliwiał wyroki wydawane przez swego brata (nigdzie nie podając jednak, że chodziło o wyrok śmierci) tym, że: *Kiedy zapadały najgorsze wyroki, Stefan był dwudziestoparoletnim człowiekiem, który niewiele rozumiał z tego, co się działo* („Między Panem...”, op.cit., s. 48). Wyjaśnijmy więc, że młody porucznik Stefan Michnik gorątkowo rwał się do sądenia w sfabrykowanych procesach wojskowych nad dużo wyższymi od niego stopniem majorami czy pułkownikami, bo widział w tym szansę błyskawicznego przyspieszenia swojej kariery. I rzeczywiście uległa ona radykalnemu przyspieszeniu – już w wieku 27 lat awansował na kapitana.

Przy obrazie rodowodu Adama Michnika warto wspomnieć również o roli jego matki, zaangażowanej komunistki sprzed wojny – Heleny Michnik. Po wojnie wstawiła się głównie dogmatycznymi podręcznikami, zalecającymi

m.in. jak najskuteczniej walczyć z religią katolicką. Oto przykładowy fragment jej zaleceń zamieszczony w „Komentarzu metodycznym dla klasy IX ogólnokształcącej szkoły korespondencyjnej stopnia licealnego” do podręczników: E. Kosiński „Historia wieków średnich”, A.W. Jefimow „Historia Nowożytna”, S. Missalowa i J. Schoenbrenner „Historia Polski”, Warszawa 1953 r.: (...) *Nie wystarczy np. powiedzieć, że Kościół był główną podporą feudalizmu, lecz trzeba to udowodnić. Udowadniać będziecie w ten sposób: Kościół był główną podporą feudalizmu ponieważ: 1) głosił, że władza królewska pochodzi od Boga, a więc poddanym nie wolno się buntować; 2) głosił wieczność feudalizmu i zasady nierówności społecznej; 3) stosował klątwę kościelną i karał wszystkich występujących przeciwko nierówności społecznej; 4) urządzał krucjaty przeciwko ruchom ludowym, np. przeciwko albigensom we Francji, husytom w Czechach itd.; 5) zwalczał postępową naukę, gdyż podważała ona panujący ustrój (np. potępienie nauki Kopernika, Galileusza itd.); 6) przez hasło „błogosławieni maluczcy duchem” utrwał ciemnotę i zacofanie mas ludowych; 7) głosząc, że ci, którzy cierpią na tym świecie, będą zbawieni po śmierci, rozbijał rewolucyjną walkę mas ludowych, itd.* Adam Michnik twierdził, że jego matka wywodziła się z całkowicie spolonizowanej żydowskiej rodziny, pisał o jej *całkowitej identyfikacji z polskością* („Między Panem...”, op.cit., s. 46-47). Nie wyjaśnił tylko, jak pod opieką takich patriotycznych rodziców – ojca jakoby absolutnie *polskiego Polaka* i matki *całkowicie identyfikującej się z polskością* – on sam już w młodości stał się narodowym nihilistą („Między Panem...”, op.cit., s. 91). Pisał sam o sobie, że był narodowym nihilistą i rzekomo przestał nim być po marcu 1968 r.

Komunistycznemu rodowodowi Michnika towarzyszyły odpowiednie splendory – wielkie eleganckie mieszkanie w gęsto obsadzonej przez zaufanych towarzyszy z partyjnej i bezpieczniejszej elity alei Przyjaciół w Warszawie, dokładnie w tym samym domu, w którym mieszkał były stalinowski minister bezpieczeństwa Stanisław Radkiewicz (por. „Wprost”, 22 XII 1991 r.).

INNI WSPÓŁPRACOWNICY MICHNIKA

Zastępcą redaktora naczelnego „Wyborczej” i od lat szefem wydawnictwa (spółki) „Agora” jest Helena Łuczywo, córka jednego z bardziej wpływowych funków (funkcjonariuszy) Komunistycznej Partii Polski, faktycznej partii zdrady narodowej w czasach II Rzeczypospolitej. Przypomnę tu ocenę Leszka Żebrowskiego: *kilkuset funków w KPP spełniało w Polsce agenturalne działania na rzecz bolszewickich przetożonych* (L. Żebrowski „Ludzie UD – trzy pokolenia”, „Gazeta Polska” z 30 września 1993 r.). Ojciec H. Łuczywo Fernand Chaber był przez 10 lat funkkiem KPP. Karany był też w niepodległej Polsce więzieniem za zdradę kraju. Po wojnie, w czasach komunistycznego zniewolenia awansował do funkcji zastępcy kierownika wydziału KC PPR, a następnie PZPR.

Odpowiednim „czerwonym rodowodem” mógł się również „pochłubić” i inny zastępca redaktora naczelnego „Wyborczej” – Michnika, dziś komentator

w tej gazecie – Ernest Skalski. Również jego ojciec – Jerzy Wilker (po wojnie już Skalski) był funkkiem w partii zdrady narodowej – KPP i był za to więziony w czasach II Rzeczypospolitej. Po wojnie awansował za swe „zasługi” dla komunizmu na szefa personalnego Komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie. Żona Wilkera, a matka E. Skalskiego – Zofia Nimen również należała do funków w KPP. Awansowała nawet do rangi sekretarza technicznego KC, znanej komunistycznej przybudówki – Międzynarodowej Organizacji pomocy Rewolucjonistom (MPR). Po wojnie pracowała w Komendzie Wojewódzkiej MO w Krakowie jako kierownik wydziału Śledczego do walki z przestępczością nieletnich. Według L. Żebrowskiego (*op.cit.*) przez cały okres powojenny była ona bądź sekretarzem POP PZPR, bądź członkiem egzekutyw w różnych miejscach pracy.

Sam Ernest Skalski stał się w „Gazecie Wyborczej” jednym z najzjadlejszych obrońców monopolu warszawskiej lewicowej „elitki” na rządzenie. Gwałtownie atakował rzeczników głębszych zmian w Polsce, oskarżając ich o „oszołomstwo” lub granie na nastrojach „nacjonalistycznych” czy „antysemickich”. Z furją wyszydział ludzi zatroskanych o los interesów narodowych w polskiej gospodarce, jej konkurencyjność – zagrożenia dla polskiego przemysłu. Szczególnie ostro atakował krytyków polityki IMF i Banku Światowego wobec Polski oraz koncepcji euroregionów. Napadał na J.M. Rymkiewicza za jego zatroskanie o polską tożsamość narodową.

Liczni inni współpracownicy „Gazety Wyborczej” pojawiający się na jej łamach jako publicyści również wywodzą się z rodzin o znaczących „czerwonych rodowodach”. Na łamach „Gazety Wyborczej” występował jako publicysta m.in. Edward Krzemień, syn generała Krzemienia (Maksymiliana Wolfa), karanego w Polsce Niepodległej przed wrześniem 1939 roku 10-letnim więzieniem za zdradę kraju. Później Krzemień (Wolf) był m.in. szefem Wydziału Wojskowego Związku Patriotów Polskich, szefem Gabinetu Wojskowego B. Bieruta i pełnomocnikiem do spraw pobytu wojsk sowieckich w PRL. Jako publicysta „Wyborczej” występowała również żona Henryka Wujca z Unii Wolności Ludmiła Wujec, córka działaczki partii zdrady narodowej – KPP – Reginy Okrent. Po wojnie matka Wujcowej R. Okrent pracowała w latach 1946-1949 w Urzędzie Bezpieczeństwa w Łodzi, a później została dyrektorem Biura Kadr w Radiokomitecie. Sama Ludmiła Wujec uważana była za najbardziej wpływową kobietę w Unii Wolności.

Jak już wspomniałem, matka Ludwiki Wujcowej – Regina Okrent działała w II Rzeczypospolitej w partii antypolskiej KPP, a po wojnie była pracownicą UB. Czyżby więc właśnie od teściowej R. Okrent przejął skrajne uprzedzenia do Polski Niepodległej sprzed 1939 roku mąż L. Wujec – Henryk Wujec. W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” z 13 sierpnia 1989 roku jako domorosły historyk piętnował on II Rzeczpospolitą za rzekomy „ustrój niesprawiedliwości społecznej”. W tymże wywiadzie z sierpnia 1989 roku Wujec dowiódł zupełnego braku zrozumienia potrzeby jak najszybszego doprowadzenia do pełnej niepodległości Polski i wyjścia wojsk rosyjskich z naszego kraju. Powiedział tam: *Dla mnie Związek Radziecki jest w Polsce nieobecny.*

Armii Czerwonej ja tu nie widzę, siedzi gdzieś o lasach niczym krasnoludki (...). Pewnie będziemy nadal związani sojuszami, ale Pakt Warszawski, który musi ulec przemianom, nie będzie nam przeszkadzał w budowie normalnej, demokratycznej Polski. Będzie to państwo o dużej, lecz niepełnej niezależności. Polska przedwojenna też była związana różnymi układami. Najbardziej groteskowe w tym twierdzeniu historyka-amatora H. Wujca było porównanie w pełni suwerennych rządów II Rzeczypospolitej z ubezwłasnowolnieniem w ramach Układu Warszawskiego. Warto dodać, że to właśnie Henryk Wujec przeforsował w Sejmie uprawnienia kombatanckie dla byłych członków Brygad Międzynarodowych w czasie wojny domowej w Hiszpanii (a więc dla walczących tam z naboru KPP-owskiego ludzi współodpowiedzialnych m.in. za masowe mordowane księży i zakonnice na terenie „czerwonej Hiszpanii”).

Warto przypomnieć, że Henryk Wujec, fizyk z wykształcenia, jest nie tylko domorosłym historykiem-amatorem. Okazuje się być swego rodzaju specjalistą od wszystkiego. Na przykład w czasach koalicyjnego rządu AWS-UW był w nim wiceministrem rolnictwa (!).

Rodzina Wujców szybko zaczęła przygotowywać swojego młodego syna do kariery. Paweł Wujec, bez żadnego przygotowania życiowego, już na początku studiów (na Wydziale Matematyki) został zatrudniony jako dziennikarz w „Gazecie Wyborczej”. Szczerze wyznawał dla redaktora z „Tygodnika Solidarność” (nr z 26 lutego 1993 r.): *Fakt, że jestem synem takiego ojca, na pewno pomógł mi w życiu. Przeciwnie do „Gazety Wyborczej” przyjęła mnie Helena Łuczyno, przyjaciółka moich rodziców, która знаła mnie doskonale i doszła widocznie do wniosku, że „Gazecie” może się to na dłuższą metę opłacić.*

„Gazecie Wyborczej” może się to rzeczywiście opłacić. Młody Wujec od razu pierwszymi tekstami pokazał, że wie, jak należy pisać „poprawnie politycznie” i komu dołożyć, choćby niewiele znał się na skomplikowanej gospodarczej tematyce. Np. w „Wyborczej” z 18 marca 1992 r. gwałtownie zaatakował gospodarczy program Elżbiety Jaworowicz, piętnując ją za *rzekomo nikomu niepotrzebną antyprywatyzacyjną nagonkę*. Jak wiemy piętnujący, na ogół równie „kompetentni” jak Paweł Wujec, osiągnęli swoje. Polskę od tego czasu gruntownie wyprzedano za bezcen, wszędzie zostawiając ruiny.

GEBERTOWIE: OD AGENTA KOMINTERNU DO FANATYCZNEGO TROPICIELA „POLSKIEGO ANTYSEMITYZMU”

Postacie z rodu Gebertów szczególnie dobrze ilustrują dwie przepoczwarczające się postawy zajadłej niechęci do polskiego patriotyzmu i polskości w kręgach dużej części lewicowej inteligencji żydowskiej. Bolesław Gebert –

ojciec, agent Kominternu, był symbolicznym wręcz typem zdrajcy z żydokomuny, zajadle spiskującego na rzecz zguby Polski i oddania jej w ręce Kremla. Konstanty Gebert – syn (Dawid Warszawski), redaktor „Gazety Wyborczej” jest nader typowym przykładem dużo bardziej wyrafinowanego nurtu przeciwników polskości i Kościoła. Nurtu specjalizującego się w nagłaśnianiu oskarżeń przeciwko rzekomemu „polskiemu i chrześcijańskiemu antysemityzmowi”. Swoimi atakami - „donosami na Polskę” za granicą daje duże wzmocnienie dla międzynarodowej ofensywy antypolonizmu.

Bolesław Gebert (senior) był starym agenturalnym działaczem komunistycznym, jednym ze współzałożycieli agenturalnej ekspozytury Kremla na kontynencie północno-amerykańskim – Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. **Już w początkach swych agenturalnych działań w USA zhańbił się nader aktywnym udziałem w akcji przeciw Polsce, śmiertelnie zagrożonej w 1920 roku sowieckim najazdem na Warszawę**, który miał bolszewizm zaprowadzić „po trupie Polski” do Europy. Aż dziwne, że nikt przede mną z patriotycznych polskich autorów nie przypomniał tego ponurego epizodu z życia agenta Geberta. I to pomimo tego, że on sam chlubił się nim na łamach wydanej w czasach Jaruzelskiego przez siebie książki wspomnień, skądinąd wypełnionej najbardziej obskurną komunistyczną propagandą. Opisując swoją rolę w 1920 roku, stwierdzał m.in.: *Byliśmy jedyną grupą wśród Polonii, która zwalczała wspieraną przez imperialistów rosyjską kontrrewolucję. Pozostała prasa polonijna popierała wyprawę Piłsudskiego i prowadziła kampanię na rzecz kupowania obligacji rządu polskiego na finansowanie wojny z Krajem Rad. Akcję prowadzono pod hasłem „Bij Bondem (tj. obligacją) bolszewika”. Rząd polski usiłował sprzedać w USA i wśród Polonii obligacje na sumę 50 milionów dolarów. Zwalczyliśmy tę akcję i odnosiliśmy rezultaty.* Anty-Polak kominternowiec tak chwalił się tym, że osłabiał akcję wsparcia dla zagrożonej Polski wśród amerykańskiej Polonii.

Walory Geberta jako członka amerykańskiej agentury Kremla wyraźnie rosły w miarę lat, bo już w sierpniu 1932 roku został wydelegowany jako jeden z dwóch przedstawicieli Komunistycznej Partii USA na XII plenum Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej w Moskwie. Było to już szczególnie znaczące prestiżowe docenienie roli B. Geberta w podkopywaniu demokratycznego systemu władzy w USA na usługach Kremla. W końcu trafiono na trop wywrotowej działalności B. Geberta w USA i 12 maja 1934 roku skazano go na deportację ze Stanów Zjednoczonych do Polski. Polski MSZ odrzucił jednak możliwość przyjęcia takiego „nabytku” przez Polskę, powołując się na to, że Gebert nigdy nie wystąpił o obywatelstwo polskie. Władze sowieckie też nie zgodziły się na jego deportację z USA do ZSRR, woląc, by pozostał dla nich użytecznym w Stanach Zjednoczonych. Wykorzystując niedbałość amerykańskich tajnych służb, B. Gebert mógł dalej działać na szkodę USA dla Sowieców, zyskując jako tajny agent NKWD pseudonim „Ataman”. Zdaniem Rafała Brzeskiego („Nasza Polska” z 28 maja 2002 r.) Gebert wyspecjalizował się w *prowadzeniu agentów pochodzących z mniejszości etnicznych.*

Po napaści sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku B. Gebert kolejny raz „zabłysnął” w polakożerczych akcjach na terenie USA. Występując na wiecach z werwą usprawiedliwiał dobitnie Polski przez Związek Sowiecki w bandyckiej spółce z III Rzeszą. Polonijny „Dziennik Zjednoczenie” z oburzeniem pisał o tej polakożerczej roli Geberta, stwierdzając m.in.: *W pisaniu głupstw prześcignął wszystkich niejaki B.K. Gebert, członek Krajowego Komitetu Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, który w języku polskim opowiadał o rajach, w jakim dziś żyje lud rosyjski.*

Wzrastającą rolę Geberta jako bardzo aktywnego agenta KGB w USA szeroko opisano w wydanej w 1999 roku w USA książce Johna Earla Haynesa i Harveya Klehra „Venona – zdemaskowanie sowieckich agentów w Ameryce”. B. Gebert umiejętnie kamuflował swoje działania, stając się jednym z czołowych działaczy prosowieckiego amerykańskiego Kongresu Słowiańskiego. Organizował inspirowane w duchu prokomunistycznym kongresy Słowian amerykańskich w Detroit, Pittsburgu i Nowym Jorku. W 1946 roku FBI kolejny raz zwróciła uwagę na Geberta, uznając za szczególnie niebezpieczną jego rolę jako sekretarza generalnego radykalnej kryptokomunistycznej organizacji o nazwie Międzynarodowy Porządek Robotniczy. Zagrożony aresztowaniem w 1947 roku Gebert pospiesznie ucieka ze Stanów Zjednoczonych, odpływając na pokładzie „Batorego” do Polski. Zbigniew Błażyński, który opracował słynne „wyznania” byłego wicedyrektora departamentu w MPB Józefa Światły, ogłoszone na falach Radia Wolna Europa tak pisał o opisanej przez Światłę ówczesnej roli Geberta w Polsce: (...) *wyrasta od razu na sztandarowego człowieka reżimu w ruchu tak zwanych związków zawodowych. Wchodzą do Centralnej Rady Związków Zawodowych, zostaje redaktorem „Głosu Pracy”, obejmuje nawet stanowisko zastępcy sekretarza generalnego komunistycznej Światłowej Federacji Związków Zawodowych. Reżim używa go do akcji propagandowej w związkach zawodowych na Zachodzie (...)* (cyt. za: Z. Błażyński „Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940-1955”, Londyn 1985, s. 167).

SZPIEGOWANY PRZEZ WŁASNĄ ŻONĘ

Kremłowscy działacze zawsze mieli jednak dużo nieufności wobec tych agentów komunistycznych, którzy spędzili wiele lat na Zachodzie. Tego typu podejrzliwość odbiła się również i na B. Gebercie. Józef Światło wspominał w swych „wyznaniach”: *Znałem Bolesława Geberta osobiście. Wkrótce po swym przyjeździe do Polski Bolesław Gebert zaczął być podejrzewany, że jest rzekomo agentem amerykańskim. Na rozkaz Moskwy został usunięty z Rady Światłowej Federacji Związków Zawodowych. Ministerstwo Bezpieczeństwa śledziło go dniem i nocą. Podesłało mu swoją agentkę, Krystynę Poznańską, która została jego kochanką, aby tym lepiej mogła go śledzić. Otóż Bolesław Gebert nie wiedząc o tym ożenił się z Krystyną Poznańską. Ministerstwo Bezpieczeństwa pozwoliło jej na małżeństwo, aby w roli żony mogła jeszcze lepiej śledzić Bolesława Geberta jako męża. O tym wszystkim Bolesław Gebert nie wiedział i*

dowiedział się dopiero z mojego zeznania przed komisją kongresową w Milwaukee w Stanach Zjednoczonych (cyt. za: Z. Błażyński, *op.cit.*, s. 168).

Sam Błażyński pisał (*op.cit.*, s. 168): *Rolę opiekunki Geberta z ramienia dziesiątego departamentu pełniła wiernie i skwapliwie Krystyna Gebertowa jako żona, która codziennie niemal raportuje swym przełożonym o zachowaniu się, kontaktach i działalności swego męża (...) stary komunista, Bolesław Gebert ma więc także swoją kartotekę obciążającą w dziesiątym departamencie Ministerstwa Bezpieczeństwa. Dokumenty w tej kartotece i uzupełniające raporty jego żony czekają tylko na odpowiednią chwilę, kiedy nagle Gebert przestanie być użyteczny i przydatny dla propagandowych celów reżimu.* Można tylko współczuć synowi Bolesława Geberta, dzisiejszemu redaktorowi „Wyborczej” – Konstantemu Gebertowi (Dawidowi Warszawskiemu), że wychowywał się w tak paskudnej atmosferze, gdy jego własna matka szpiegowała jego ojca. Trudno ocenić rany, jakie to odcisnęło na jego psychice, gdy dowiedział się z zeznań Światły o tej tak haniebnej roli swojej matki. A musiał się dowiedzieć, bo trudno wprost przypuścić, by tak upolityczniony członek lewicowej opozycji nie czytał podstawowego wręcz dokumentu, jakim były „wyznania” Światły „Za kulisami bezpieki”. Warto tu dodać, że Leszek Żebrowski pisał o wspomnianej Krystynie Gebert (z domu Poznańskiej), iż była chorążym UB i *organizatorką jednego z najokrutniejszych Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego (w Rzeszowie) w latach 1944-45 (wg L. Żebrowskiego „Ludzie UD – trzy pokolenia”, „Gazeta Polska” z 30 września 1993 r.)*.

ANTYPOLONIZM DAWIDA WARSZAWSKIEGO

Zrozumienie powyższych uwarunkowań (matka K. Geberta szpiegująca swego męża), które mogły nader boleśnie i deformująco oddziaływać na psychikę Konstantego Geberta (Dawida Warszawskiego) nie może usprawiedliwiać jednak jego tak zajadłych fobii wobec polskiego patriotyzmu i Kościoła i wynikłych stąd ogromnych szkód, jakie wyrządził obrazowi Polski za granicą.

Wielokrotnie już pisałem w różnych książkach i artykułach na temat rozlicznych antykatolickich i antypolskich „wyczynów” D. Warszawskiego. Dlatego tutaj – ze względów objętościowych – ograniczę się do wyliczenia tylko kilku charakterystycznych przykładów jego poczynań. Warszawski niejednokrotnie wyrzekał na rzekomy polski „antysemityzm” i brak odpowiedniej gotowości polskich katolików do dialogu z Żydami. Sam zaś „najlepiej” pokazał, jak rozumie ten „dialog” już w 1989 r. wulgarnie i oszczerczo atakując Prymasa Polski Józefa Glempa na łamach wychodzącego w Stanach Zjednoczonych żydowskiego czasopisma „Tikkun”. Nazwał tam poglądy Prymasa Polski „aroganckimi i głupimi” – dość szczególny przejaw „skłonności do dialogu” ze strony członka gminy żydowskiej (!).

26 lipca 1996 r. Warszawski opublikował na łamach dodatku „Ex Libris” do „Życia Warszawy” jeden z najbardziej paszkwilanckich tekstów, gruntownie zafałszowujących historię stosunków polsko-żydowskich. Twierdził tam m.in., że przed wojną jakoby **niemal żaden Żyd** nie mógł zostać wyższym oficerem w Polsce, tak silna była bowiem dyskryminacja wobec Żydów. Okazało się, że Warszawski jest tak leniwy, że nie czyta dokładnie nawet współredagowanej przez niego „Gazety Wyborczej”. Mógłby się tam bowiem z niej wcześniej dowiedzieć, że w Katyniu zginęło ok. 400 oficerów, Żydów z pochodzenia. Wyjątkowo niebezpieczne dla obrazu Polski i Kościoła katolickiego w Polsce w świecie okazały się rozliczne „donosy” Warszawskiego na Polskę na użytek zagraniczny, w stylu cytowanego już wcześniej tekstu publikowanego w „Tikkun”. Warszawski szczególnie mocno nasilił swą kalumniantorską działalność tego typu przy okazji „Sąsiadów” Grossa. M.in. w artykule publikowanym w niemieckim „Die Welt” pisał, że: *Polacy powinni swoje zbrodnie na Żydach zaakceptować jako część własnej historii* (cyt. za korespondencją W. Maszewskiego z Hamburga „Warszawski szkaluje Polaków”, „Nasz Dziennik” z 18 lipca 2002 r.).

D. Warszawski stał się czołowym wyrazicielem żydowskiego nacjonalistycznego triumfalizmu w Polsce, przekonania, że mniejszość żydowska powinna odegrać rolę dominującą. Jakże wymowne pod tym względem były jego uwagi zamieszczone na łamach amerykańskiego miesięcznika „Moment” w 1998 roku w artykule pt. „By 2050 Poland will become an economic powerhouse with Polish Jews as its drawing force” (Przed 2050 Polska będzie ekonomiczną potęgą z polskimi Żydami jako jej siłą napędową). Warszawski pisał tam m.in.: *Do roku 2000 Polska będzie miała społeczność żydowską liczącą około 30 000 osób, sześć razy większą niż w 1989 r., kiedy to żydowskie odrodzenie rozpoczęło się na serio (...) W swej determinacji przystąpienia do Unii Europejskiej i wyzbycia się przekonań politycznych, które czyniły naród polski zakładnikiem historii przez 2000 lat, młodzi Polacy porzucili zarówno złe, jak i dobre tradycje. Wolą uczyć się niemieckiego niż historii wojen z Niemcami (...) Antysemityzm został zmarginalizowany do księżycowych peryferii. Zarazem całe pojęcie tożsamości narodowej i tradycji zostały zapomniane (...) W roku 2010 żydowscy profesorowie zdominują wydziały polskiej historii i tradycji na uniwersytetach* (podkr. – J.R.N.) *(...) Polskie lobby żydowskie wkrótce wzrośnie w siłę powiązaną z zadziwiającym rozwojem polskiej gospodarki (...). W połowie przyszłego wieku Polska stanie się kontynentalną potęgą gospodarczą, a polscy Żydzi, w całej Europie, będą jej siłą przewodnią* (podkr. – J.R.N.) (cyt. za: T. Pająk „A Narod śpi!”, wyd. II, Tomaszowice 2002, s. 291-292).

SMOLAROWIE

Do ludzi nader wpływowych należą **bracia Eugeniusz i Aleksander Smolarowie**. Eugeniusz Smolar pod koniec lat 90. został wiceprezesem i dyrektorem programowym Polskiego Radia, Aleksander, „szara eminencja”

Unii Wolności, wywierał tym większy wpływ jako prezes zarządu sorosowskiej Fundacji im. Stefana Batorego. **Są dziećmi komunistycznego działacza żydowskiego pochodzenia Hersza (Grzegorza) Smolara i komunistycznej historyczki Walentyny Najdus.** Hersz Smolar już w 1920 r. uczestniczył w bolszewickiej akcji przeciw Polsce jako członek tzw. Komitetu Rewolucyjnego. Z powodu swej zdradzieckiej roli w owym czasie poszukiwany był przez polską żandarmerię wojskową po rozbiciu sowieckiej agresji. Wszedł do partii zdrady narodowej KPP, która przerzuciła go na tereny Związku Sowieckiego. Studiował tam na partyjnej uczelni kształcącej działaczy komunistycznych. Skierowany przez sekcję Komitetu do akcji wywrotowej w Polsce został w końcu aresztowany i skazany za działania antypolskie na trzy lata więzienia. Przerzucony później do ZSRR został członkiem Centralnego Żydowskiego Biura Komitetu Centralnego Komsomołu. Po powrocie do działalności wywrotowej w Polsce wkrótce został kolejny raz skazany za nią (na 6 lat więzienia). Po agresji sowieckiej na Polskę, 17 września 1939 r., należał do grupy osób kolaborujących z Sowietami, został redaktorem komunistycznego pisma „Białostyker Sztern”. W latach 1943-1944 należał do sowiecko-żydowskiej partyzantki (według tekstu P. Siergiejczyka w „Naszej Polsce” z 9 stycznia 2001 r. był związany znanym z okrutnej pacyfikacji polskiej wsi Naliboki Simchą Zorinem).

Po powrocie do Polski w 1946 r. został członkiem Prezydium Centralnego Komitetu Żydów w Polsce i kierownikiem jego Wydziału Kultury i Propagandy. W 1949 r. zastąpił A. Bermana na stanowisku przewodniczącego Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, a później aż do 1962 r. był przewodniczącym Zarządu Głównego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Przez wiele lat, aż do 1968 r., był redaktorem naczelnym organu PZPR w języku jidysz „Folks-Sztyme”. Wyróżniał się tam m.in. nienawistną zajadłością wobec polskiego duchowieństwa katolickiego. „Nasza Polska” z 9 stycznia 2001 r. przedrukowała tekst jego listu z 10 października 1953 r. do kierownika Wydziału Prasy KC PZPR Stefana Staszewskiego, proszącego o zgodę na zamieszczenie artykułu atakującego „reakcyjne” polskie duchowieństwo i osobiście Prymasa Wyszyńskiego za ich stosunek do ludności żydowskiej, zarówno w „Polsce sanacyjnej jak i w Polsce Ludowej”. List Smolara do KC PZPR był wystosowany w znamienym czasie – w związku z procesem ks. biskupa C. Kaczmarka i aresztowaniem Prymasa Tysiąclecia. W 1968 r. H. Smolar wyemigrował z Polski do Izraela. Żona H. Smolara, Walentyna Najdus, przed wojną była wiele razy karana więzieniem za uczestniczenie w zdradzieckiej akcji Komunistycznej Partii Polski przeciw Polsce. Wyrzucona z Uniwersytetu Warszawskiego w 1931 r., karierę naukową jako komunistyczny wykładowca zaczęła robić w ZSRR. W 1947 r. została nawet kierownikiem katedry w Mińsku. Po powrocie do Polski została wykładowcą Szkoły Partyjnej przy KC PZPR, zostając tam kierownikiem katedry. Później pracowała jako docent w Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR, wreszcie przeszła do Instytutu Historii PAN.

Eugeniusz Smolar, wychowanek „walterowców” Jacka Kuronia, został wyrzucony z UW po wydarzeniach marcowych 1968 r. i wyjechał na emigrację. Na początku lat 70. uzyskał pracę w BBC, dzięki poparciu szefa Polskiej Sekcji BBC Krzysztofa Pszenickiego, dziennikarza o „odpowiednim” rodowodzie (matka jego była współautorką sławetnego „Manifestu Lipcowego PKWN”), zaprzyjaźnionego z Michnikiem, Łuczywo i Dajczgewandem. Smolar został I zastępcą Pszenickiego. Warto przypomnieć, co pisała o pracy E. Smolara w BBC 7 marca 1996 r. Anita Gargas, dziennikarka dziś tak mocno filosemickiej „Gazety Polskiej”: *Smolar starał się o zwolnione po Pszenickim miejsce I zastępcy szefa sekcji. Został przyjęty, mimo że bardzo słabo władał angielskim (dobry angielski to jeden z podstawowych warunków przyjęcia do pracy w BBC). (...) Pszenicki (...) ze Smolarem obsadzili sekcję swoimi ludźmi (...).* **Polonia brytyjska odnotowywała sygnały tępienia u starszych pracowników sekcji wszelkich objawów religijności. Przyznanie się do katolicyzmu było równoznaczne z wygrzieniem z pracy** (podkr. – J.R.N.). – *Smolar dbał o staranny dobór pracowników i korespondentów. Wbrew zasadom BBC w czasie rozmów kwalifikacyjnych z kandydatami do pracy pytano o stosunek do Kościoła. Największą szansę na zatrudnienie miały osoby żydowskiego pochodzenia – mówi jeden z Polaków krótko współpracujący z BBC.*

Smolar selekcjonował również autorów cytowanych na antenie: Światowy serwis BBC uznawany był za wzór obiektywizmu i rzetelności. Smolar wykorzystał reputację rozgłośni do lansowania jednej opcji politycznej – dodają Polacy z Londynu. (...) W czasie stanu wojennego Smolar, będąc już szefem Sekcji Polskiej, starał się zmonopolizować rynek informacji z Polski oraz system pomocy finansowej dla podziemnej opozycji (...). Działalność szefa Sekcji Polskiej była przedmiotem ogromnej ilości skarg do kierownictwa BBC. Skargi i protesty nasiliły się w 1990 r., kiedy to w Polsce ROAD toczyło z Wałęsą walkę o władzę.

Polskie audycje BBC są dla mnie wzorem klasycznej propagandy – napisał w październiku 1990 r. w „Tygodniku Solidarność” Piotr Wierzbicki. Cechą szczególną tych programów jest stronniczość. Lansują one grupę polityczną ROAD. Prowadzą nagonkę przeciw Porozumieniu Centrum i Lechowi Wałęsie. W kwestiach spornych udzielają głosu głównie jednej stronie. Nie prostują kłamstw i oszczerstw zawartych w wypowiedziach ich ulubionych bohaterów.

Artykuł Wierzbickiego miał być przedrukowany w angielskojęzycznym dodatku do „Dziennika Polskiego”. Smolar doprowadził do zablokowania druku. – Sześć tysięcy egzemplarzy gazety poszło na przemiał – relacjonowała przebywająca w Londynie reporterka „TS” Elżbieta Isakiewicz.

Gargas dodawała, że: *Smolar, który nigdy nie krył swego żydowskiego pochodzenia, jednostronnie angażował się w inne sprawy, na przykład w konflikt wokół Karmelu. Pozwalał, by w BBC cytowano artykuły o rzekomym antysemityzmie hierarchii kościelnej w Polsce itp.*

Jak widać A. Smolar w pełni odziedziczył antykatolicką zajadłość po ojcu. **Tym wymowniejszy był fakt, że dziennikarz tak tendencyjny, tak nie-**

chętny do katolicyzmu, wyznawanego przez ogromną większość Polaków doszedł do stanowiska wiceprezesa i dyrektora programowego Polskiego Radia. Czyż w takim Radiu, pod takim kierownictwem, mieli jakiegokolwiek szanse występowania ludzie o zdecydowanie chrześcijańskim punkcie widzenia?!

Brat Eugeniusza Smolara, Aleksander był pełen równie silnych uprzedzeń do Kościoła katolickiego w Polsce. W publikowanym we wrześniu 1989 r. na łamach „Le Quotidien de Paris” artykule na temat sprawy oświęcimskiego Karmelu zarzucał Kościołowi katolickiemu zupełną „niewrażliwość” na kwestie martyrologii polskich Żydów. Oskarżał tam również Prymasa Polski Józefa Glempa, że: *Chce poprzeć prądy nacjonalistyczne, chrześcijańskie, tradycjonalistyczne, a nie ludzi typu Mazowieckiego*. A. Smolar należał do osób szczególnie mocno zaangażowanych w kampanię przeciwko lustracji i dekomunizacji. Twierdził na łamach „Gazety Wyborczej”, że J. Olszewski i A. Macierewicz *przestraszyli wszystkich brutalnością, irracjonalizmem podjętej próby uśmiercenia polskich elit za pomocą akt Służby Bezpieczeństwa* (podkr. – J.R.N.). W 1991 r. A. Smolar został wybrany na tak wpływową pozycję prezesa Fundacji Batorego. Wszedł później do Rady Krajowej Unii Wolności, stając się tam głównym architektem zastąpienia T. Mazowieckiego L. Balcerowiczem na stanowisku szefa UW i dokonania w ten sposób jeszcze silniejszego zwrotu w lewo tej partii. Wypowiadał się też jednoznacznie za współdziałaniem z SLD, „partnerskim układem” z tą partią (w lewicowym „Przeglądzie” z 14 lutego 2000 r.). Tak skory do współpracy z SLD A. Smolar „wslawił się” gromkimi ostrzeżeniami przed rzekomym zagrożeniem powstania „bojówek” o Tadeusza Rydyka czy ks. H. Jankowskiego (!). To oszczerstwo wydrukowano na łamach „katolickiego” (!) „Tygodnika Powszechnego” z 7 stycznia 1996 r.

KLAN WRÓBLEWSKICH

Polską scenę medialną nierzadko opanowują całe klany dziennikarzy obstawiając stanowiska w prasie. I realizując w ten prosty sposób zasadę „dzieńdżenia elit”, oczywiście lewicowego chowu. Tyle że dawne komunistyczne zaangażowanie wśród młodego narybku zmienia się w lewicowość liberalistów w odpowiednim zachodnim opakowaniu. Typowy pod tym względem jest dziennikarski klan Wróblewskich (pierwotnie Fejginów. Nazwisko Fejgin rodzina zmieniła w konkretnej sytuacji 1940 r. na Wróblewskich). Przyjrzymy się uważniej trójce dziennikarzy z klanu Wróblewskich: byłemu wpływowemu komunistycznemu dziennikarzowi z „Polityki” i przeciwnikowi „Solidarności” w latach 1980-1981, po 1989 r. redaktorowi naczelnemu „Gazety Bankowej” – **Andrzejowi K. Wróblewskiemu**, jego żonie – dziennikarce **Agnieszce Wróblewskiej** i ich synowi najbardziej dziś wpływowemu redaktorowi naczelnemu lewicowego liberalnego „Newsweeka” – **Tomaszowi Wróblewskiemu**. Warto tu szerzej omówić ich rolę. Wystąpienia dziennikarzy z klanu Wróblewskich nader dobrze ilustrują bowiem, jak chętnie wykorzystuje się

wysokie stanowiska w mediach dla zatruwania atmosfery w duchu antykościelnym czy antypolskim, z prowokatorskim wręcz zacięciem w tropieniu rzekomego „polskiego antysemityzmu”.

Andrzej Krzysztof Wróblewski przez wiele lat był dziennikarzem „Polityki”, dochodząc w niej do bardzo znaczącej funkcji kierownika działu krajowego. Od początków swej kariery wykazał dużą „zapobiegliwość” o dobra materialne. Jego były kolega redakcyjny Jerzy Urban złośliwie opisał tę cechę S.K. Wróblewskiego, podając w „Alfabcie Urbana” (s. 204) dość szczegółową informację: *Kiedy nastąpiłem w 1960 r. w „Polityce” właśnie po korytarzach wiodła skandal. Młody dziennikarz Wróblewski wystosował list do różnych przedsiębiorstw, że dostał mieszkanie, potrzebuje mebli, lodówki itd. i pyta, w czym mogliby mu pomóc. Szukanie protekcji uchodziło za nieprzystojność i zespół „Polityki” szeptem zgorszony. Wróblewski był jednak tylko prekursorem sztuki korzystania z chodów, która potem rozwinęła się i stała powszechna. On sam na zawsze pozostał zaradny.*

W latach 1980-1981 jako redaktor „Polityki” zdecydowanie występował w swoich tekstach przeciwko „Solidarności” i Wałęsie. Za przestrzeżenie przed nim „Solidarności”, z inicjatywy Urbana, ukarano rozwiązaniem umów dwóch dziennikarzy „Polityki”. Był współautorem rozmowy z liderami gdańskich robotników w „Polityce” z 1 listopada 1980 r., rozmowy, która wywołała ogromne protesty czytelników z powodu niebываłej arogancji prowadzących ją redaktorów. Jeden z czytelników napisał wprost o swym „głębokim obrzydzeniu” z powodu buty dziennikarzy prowadzących rozmowę. Jeszcze 12 grudnia 1981 r. A.K. Wróblewski piętnował w „Polityce” uparte uzurpowanie sobie przez „Solidarność” tej samej roli, co Sejm, który *jest najwyższym reprezentantem narodu* (!). Na tle takiej postawy A.K. Wróblewskiego wobec „Solidarności”, tym „dziwniejsze” było jego nagłe odejście z „Polityki” w początkach 1982 r. i pojawienie się w kręgach solidarnościowych. Nie wiadomo, jakie były ówczesne motywy i cele Wróblewskiego.

Interesujące w kontekście wspomnianego już zaskakującego zachowania A.K. Wróblewskiego, byłego przeciwnika „Solidarności”, tuż po grudniu 1981 r., wydają się dwuznaczne sugestie J. Urbana w jego „Alfabcie” (s. 206): *Przyjaźniłem się z Wróblewskim i bardzo go lubiłem, coś jednak dziwnego dostrzegam w biegu jego życia i kariery (...). W sumie postać niejasna, zachowująca się tak, jakby jakaś niewidzialna ręka to pchała go w jakimś kierunku, to hamowała*. Była to niedwuznaczna sugestia, że Wróblewski „jest jakimś agentem” (por. stwierdzenie R. Piszczyka w książce „K. Andrzejewski o Urbanie”, Gdańsk 1993, s. 93).

Ciekawe, że w czasie, gdy wyjazdy zagraniczne były wstrzymane i nielato było dostać paszport, A.K. Wróblewski dzięki rozmowie z gen. C. Kiszczakiem latem 1982 r. uzyskał „jakoś” taki paszport do USA dla siebie, żony, syna i córki. Wyjechał do Stanów już w nimbie „solidarnościowca”. Powrócił po kilku latach. Zwierzał się w ankiecie „Res Publik” z 1987 r. (nr 6): *Czuję się obywatelem Polski, ale i obywatelem świata. Nie cierpię zaścianka, nie uważam, że polski pejzaż, polska poezja czy polski patriotyzm są lepsze niż*

innych narodów. Na łamach „Odry” z kwietnia 1988 r. snuł dywagacje na temat rzekomej antysemickości polskiej kultury.

Po 1989 r. A.K. Wróblewski szybko staje się wielce wpływowym w mediach, prowadzi cotygodniowy program telewizyjny w drawiczowej telewizji i zostaje redaktorem naczelnym czołowego pisma finansowego „Gazety Bankowej”. Wyróżnia się już wówczas prowokacyjną wręcz skłonnością do tropienia rzekomego „polskiego antysemityzmu”. Uskarża się skądinąd i tak uprzedzonemu do Polski redaktorowi z „Chicago Tribune” na to, że wiele osób w Polsce podejrzewa Mazowieckiego, że jest Żydem. I dodaje: *Polacy nie chcą obwinić siebie za swe błędy i Żydzi zawsze byli wygodnym kozłem ofiarnym* (według „Biuletynu Specjalnego PAP” z 20 listopada 1990 r.).

Po I Kongresie Prawicy Polskiej, przeprowadzając wywiad ze Stanisławem Michalkiewiczem z Unii Polityki Realnej, posunął się do szczególnie obrzydliwej prowokacji, zapytując swego rozmówcę: *Czy nie sądzi pan, że wielkim zwycięstwem Polaków w II wojnie światowej było wytępienie Żydów?* Oslupiały tak nikczemnym zapytaniem Michalkiewicz odparł, że oczywiście nie takiego nie sądzi. Zabrakło mu jednak wtedy odpowiedniej riposty negującej jakiegokolwiek kwalifikacje do występowania w telewizji przez osobę zadającą tak podle postawione prowokacyjne pytanie. Jak widać, A.K. Wróblewski – monsieur l’agent provocateur – jak go określił Marian Miszański w „Najwyższym Czasie!” z 18 sierpnia 1990 r., miał dostatecznie duże „plecy”, by przetrwać na wysokich stanowiskach medialnych, pomimo najbardziej nawet podłych wyskoków.

Jako naczelny „Gazety Bankowej” Wróblewski konsekwentnie hołdował maksymalnemu bezkrytycznemu zapatrzeniu na Zachód, bez względu na polskie narodowe interesy gospodarcze. To w jego piśmie zrobiono najbardziej panegiryczną reklamę Bąsikowi i Gąsiorowskiemu, i to jeszcze na miesiąc przed ich ucieczką z Polski – por. artykuł Ireneusza Chojnackiego i Sławomira Lipińskiego o Art-B „Genialne dziecko naszych czasów”, „Gazeta Bankowa”, 30 czerwca 1991 r. W artykule cytowano m.in. jakże wymyślną wypowiedź izraelskiego ekonomisty, współpracownika Banku Światowego, Valerego Amiela o Bąsiku i Gąsiorowskim: *Czuję się przy nich czasem jak Salieri przy Mozarcie*. Bąsik – nowy Mozart! Czyż nie był to najwspanialszy, jakże subtelny komplement dla panów, którzy z wirtuozerią okradli Polskę na wiele milionów dolarów?! Po ucieczce Bąsika i Gąsiorowskiego „Gazeta Bankowa” pod redakcją Wróblewskiego dalej „dzielnie” występowała przeciw tropieniu afer jako oszołomstwu.

Warto dodać, że pod koniec lat 90. A.K. Wróblewski nieoczekiwanie znowu powrócił do pracy w postkomunistycznej „Polityce”, z którą tak niespodziewanie zerwał w początkach 1982 roku.

Żona A.K. Wróblewskiego – Agnieszka – stała się prawdziwą wykrywaczką rzekomych „oszołomów”, tj. tych wszystkich, którzy próbowali bronić polskich narodowych interesów gospodarczych, przeciwstawiając się prywatyzacji „za bezcen”. „Wstawiła się” m.in. gwałtowną, pełną nieukrywanej furii napaścią prasową na łamach „Życia Warszawy” na program Elżbiety Jaworo-

wicz „Sprawa dla reportera”. A. Wróblewska konsekwentnie występowała jako rzeczniczka niczym nieokiełzanego kapitalizmu, po stronie oligarchów łamiących wszystkie zasady w imię swego personalnego wzbogacenia. Jej drukowany w tym duchu artykuł w „Gazecie Wyborczej” (nr 284 z 1996 r.) był typowym pod tym względem tekstem, lansującym wilcze prawo silniejszych do łamania wszelkich zasad sprawiedliwości społecznej. Akcentowała: **Wygrywa ten, kto potrafi więcej wyrwać z puli. Sprytniejszy, zdolniejszy, lepiej urodzony, lepiej ustawiony, przegrywa słabszy** (podkr. – J.R.N.).

KARIERA TOMASZA WRÓBLEWSKIEGO

Od początku lat 90. zaczęła się przyspieszona kariera **syna Agnieszki i Andrzeja Krzysztofa Wróblewskich – Tomasza**.

Po zostaniu korespondentem w Waszyngtonie T. Wróblewski szybko „wyróżnił się” rozlicznymi prasowymi manipulacjami, m.in. nagłośnionymi na łamach „Wprost” oszczerczymi rewelacjami żydowskiego dziennikarza z USA na temat rzekomego spisku Papieża Jana Pawła II z Reaganem przeciwko Związkowi Sowieckiemu.

Jako korespondent z Waszyngtonu T. Wróblewski stosował odpowiednią manipulacyjną metodę wspierania lewicowych i antykościelnych argumentów poprzez posilkowanie się cytatami z amerykańskich publikacji. Krystyna Czuba tak pisała w książce „Media i władza” (Warszawa 1994, s. 19) o metodach Wróblewskiego: *W „Życiu Warszawy” z 9 marca 1993 r. został zamieszczony artykuł T. Wróblewskiego z Waszyngtonu „Kościół polski przeciwko polskim rodzinom”. Tytuł ostry wybitnie. Kościół katolicki według amerykańskiej fundacji PAI jest odpowiedzialny za najgorszy w świecie system opieki zdrowotnej i planowanie rodziny. W artykule zastosowana jest manipulacja stereotypowa (...) Dlaczego Kościół jest odpowiedzialny za stan opieki zdrowotnej, a nie Ministerstwo Zdrowia? Chyba dlatego, że przeszkadza w najnowszym pomysłach dotyczących różnych „bezpiecznych metod”. Artykuł jest tak sformułowany, aby jasne było jedno przesłanie: „Kościół katolicki jest przeciwko”.*

W swych korespondencjach Wróblewski starał się maksymalnie nagłaśniać różne postulaty sprzeczne z tradycyjną etyką. Jacek Kwieciński pisał w „Gazecie Polskiej” z 4 września 1994 r. o uporze, z jakim T. Wróblewski nagłaśniał różne cywilizacyjne „szaleństwa zachodnie”: *Dużą rolę odgrywa tu zupełnie wyjątkowy korespondent z USA – T. Wróblewski. Przepisuje on bez komentarzy skrajne idiotyzmy z odezwu homoseksualistów (...)*. Śladami ojca prezentował się też jako zajadły tropiciel rzekomego „polskiego antysemityzmu”, m.in. niejednokrotnie atakując w swych tekstach prezesa KPA Edwarda Moskala. W czasie wywiadu z Moskałem dla tygodnika „Wprost” w 1996 r. T. Wróblewski posunął się do skrajnie agresywnego ataku na swego rozmówcę, mówiąc: **„Nie tylko Żydzi, ale także wielu Amerykanów polskiego pochodzenia uważa pana za antysemitę** (podkr. – J.R.N.) **i co więcej – są zdania, że pańska postawa może zaszkodzić Polsce w zabiegach o amerykań-**

skie poparcie dla rozszerzenia NATO”. Starał się maksymalnie ośmieszyć i zdezwauować wszelkie polskie protesty przeciw fałszowaniu obrazu stosunków polsko-żydowskich (np. w sprawie „Listy Schindlera”).

Już w początkach swej działalności jako korespondenta w Waszyngtonie T. Wróblewski zmontował prawdziwą prowokację przeciwko związanemu z PC ministrowi Zalewskiemu, fałszywie oskarżając go (później nazwano to „faktem prasowym”), że rzekomo sondował reakcje strony amerykańskiej na odejście Balcerowicza.

Po latach, już jako naczelny „Newsweeka”, T. Wróblewski popisał się szczególnie brutalnym wyskokiem przeciwko osobie Papieża-Polaka, drukując na okładce swego tygodnika zdekompletowaną układankę z wizerunkiem Jana Pawła II, opatrzoną niżej słowami: *Świat przed odejściem Papieża*. Pisał o tym red. Waldemar Żyszkiewicz na łamach „Naszej Polski” z 20 sierpnia 2002 r.: *Słowa brutalne, okrutne, nie do przyjęcia, już nie tylko dla wierzących, ale dla wszystkich, którzy kanony dobrego wychowania (...) wciąż uznają za obowiązującą dyrektywę zachowania. Porcję niesmaku zwiększała lektura bezlitosnych w tonie roztrząsań o sukcesji na Stolicy Piotrowej (...), a także arogancki, skierowany do Papieża przez Andrew Nagorskiego, szefa redakcji obcojęzycznych wydań „Newsweeka” apel, o jak najszybsze ustąpienie z urzędu*. Żyszkiewicz, krytykując pełen uprzedzeń i niechęci styl pisanie o Papieżu i redukcji w „Newsweeku” zjawiska religijności do wymiarów czysto socjologicznych, przypomniał, że Wróblewski redaguje swój tygodnik za niemieckie pieniądze. A antypapizm jest szczególnie mocno manifestowany przez dużą część niemieckich mediów.

Dodajmy, że przy innej okazji Wróblewski jako naczelny „Newsweeka” popisał się „ozdobieniem” bloku materiałów o Kościele katolickim reprodukcją bluźnierczego obrazu Jarosława Modzelewskiego „Pamiętka I Komunii”. Jak widać, T. Wróblewski jest konsekwentny w swej niechęci do Kościoła. Był i jest konsekwentny również w swych uprzedzeniach do tradycyjnej polskości i w tropieniu rzekomego polskiego „antysemityzmu”.

Mimo nagminnego uciekania się do oszczerstw i agresywnych prowokacji Tomasz Wróblewski świetnie prosperował: mógł pisać największe bzdury i kalumnie, i wszystko mu przechodziło. I w końcu awansował na naczelnego redaktora „Newsweeka”. Bo **w Polsce mamy taki system lewicowych mediów, który potrzebuje takich jak on „chuliganów pióra”, zawsze skłonnych do dokopania Narodowi, Kościołowi czy postaciom czolowych polskich patriotów**. Prosperowanie wspomnianego klanu Wróblewskich jest wyraźnym symptomem ciężkich patologii polskich mediów, w których równocześnie skazywani są na zepchnięcie na margines o wiele zdolniejszych od nich dziennikarze, tyle że występujących w obronie patriotyzmu i wartości chrześcijańskich. (Dość przypomnieć choćby zmarginalizowanie takich publicystów, jak były szef Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Maciej Iłowiecki czy Wojciech Turek, rozlicznych dziennikarzy dawnego „Ładu”, „Słowa – Dziennika Katolickiego”, „Tygodnika Gdańskiego”, „Młodej Polski”, etc.).

Na tle tej tak dobranej i tak zgranej trójki dziennikarzy z klanu Wróblewskich jedyną prawdziwie sympatyczną osobą był zmarły już w 1994 r. **nestor rodu, ojciec A.K. Wróblewskiego, krytyk teatralny Andrzej Wróblewski**. W wydanym na krótko przed śmiercią wspomnieniowym wywiadzie „Być Żydem” dał on jedną z najbardziej obiektywnych relacji o stosunkach polsko-żydowskich w dobie wojny, ogromnie chwając polskie zachowanie w tym czasie. Co więcej, w swojej książce A. Wróblewski bardzo ostro krytykował rolę klik żydowskich w gospodarce (obok Hilarego Minca) i rolę Żydów w UB, pisząc m.in.: *Proporcjonalnie więcej było Żydów wśród katów niż ofiar i chociaż nie wszyscy byli równie gorliwi, to jednak w powszechnym odbiorze postrzegana była ich aktywność*. W innym miejscu swej książki A. Wróblewski ubolewał, że w 1968 r. *pod płaszczykiem dotkniętej godności wyjeżdżali z kraju Żydzi, którzy służyli w UB, byli sędziami czy prokuratorami, z rękami umaczanymi po łokcie we krwi* (podkr. – J.R.N.). Andrzej Wróblewski nie wahał się nawet napisać w swej książce tego, co niektórzy tak bardzo lubią przemilczać za wszelką cenę. Tego, że jego rodzina w 1940 r. zmieniła nazwisko Fejgin na Wróblewski. (Być może ta jego szczerość wywołała całkowite zniknięcie jego książki z półek księgarskich. Szybko stała się ona całkowicie nieuchwytna w przeciwieństwie do zapełniającej półki ogromnej większości książek z tematyki żydowskiej).

Fakt ujawnienia w swej książce przez Andrzeja Wróblewskiego pierwotnego żydowskiego nazwiska, które nosił jego ród, był tym istotniejszy na tle dominujących dziś innych zachowań. W naszej prasie nie brak bowiem osób, które z prawdziwą furią rzucają się na wszelkie przypomnienie pierwotnych nazwisk, nawet w przypadku, gdy chodzi o osoby stalinowskich katów. Tak jak to zrobiła znana „tropicielka antysemityzmu” Alina Grabowska w „Życiu Warszawy”, nie mogąc darować K. Kunertowi, że przypomina autentyczne imiona rodziców niektórych sędziów i oprawców. (Chodziło m.in. o sądową morderczynię bohatera Państwa Podziemnego – gen. Emila Fieldorfa „Nila” – Marię Gurowską z domu Sand, córkę Moryca i Frajdy z domu Einsenman).

Agresywne dążenia do przemilczenia za wszelką cenę oryginalnych nazwisk rodowych, głównie żydowskich, są w pewnej mierze czymś groteskowym i sprzecznym z samą naturą wiedzy o historii. Przy takim przemilczaniu nikt nie wiedziałby na przykład, że dwie jakże wpływowe postaci doby stalinizmu z Polsce: **dyrektor departamentu śledczego w MBP Jacek Różański i dyktator nad prasą i wydawnictwami Jerzy Borejsza byli rodzonymi braćmi: Goldbergami**.

RODOWÓD J. URBANA

Warto przypomnieć tu także zbyt mało znaną historię rodowodu Jerzego Urbana, tak opisaną przez autora wywiadu-rzeki z jego byłą żoną Karyną Andrzejewską – Radosławem Piszczukiem. Według Piszczuka: *Ojciec Urbana, redaktor i współwłaściciel pepeesowskiego „Głosu Porannego” oskarżony został przed wojną przez endeków, że jest sowieckim agentem. Procesował się z*

pismem, które zamieściło jego fotografię, jak wychodzi z dużą paczką z ambasady radzieckiej. Teraz Jerzy Urban twierdzi, że dzięki temu udało się im jesienią 1949 r. niezgorzej urządzić we Lwowie, dokąd uciekli z Łodzi po wybuchu wojny. **Urbach** (ojciec J. Urbana – przyp. J.R.N.) **dostał tam początkowo bardzo odpowiedzialną w każdym systemie totalitarnym posadę administratora domu. Kto zna realia sowieckiej okupacji Lwowa – wrzesień 1939 – czerwiec 1941 – wie, że zwłaszcza ta posada wiązała się z częstymi roboczymi kontaktami z NKWD, a obejmujący ją musiał cieszyć się pełnym zaufaniem tej kryminalnej organizacji. Świadczy o tym zaufaniu także rychły awans Urbacha na stanowisko urbanisty miasta Lwowa** (podkr. – J.R.N.) (cyt. za: K. Andrzejewska „Urban... byłem jego żoną”, Gdańsk 1993, s. 93).

Po okupowaniu Lwowa przez Niemców – według R. Piszczyka – J. Urban musiał dla kamuflażu wkuwać modlitwy i biegać na naukę religii. Robił to niezwykle gorliwie. Sam przyznaje, że ćwiczył nawet w domu odprawianie nabożeństw. Później – jak często się zdarza – tak go to zniechęciło, że zamiast żywić wdzięczność wobec Kościoła, iż dzięki temu ocalił życie, nienawidzi duchownych do dzisiaj, czemu przy każdej okazji daje wyraz w sobie właściwy sposób (tamże, s. 17).

Szybko odnalazł w sobie skłonności do donosicielstwa. Radosław Piszczyk, przypominając epizody z młodości J. Urbana, zastanawia się nad przyczynami jego pewnych zachowań, pisząc: *Może zapragnął wówczas „dowartościować się” poprzez współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa? Pisząc o konfliktach i rozstaniach ze swoim przyjacielem Dziewanowskim, niedwuznacznie przyznaje się, że donosił o jego kontaktach z ambasadą USA. Przez jakiś czas Urban spotykał się z przedstawicielką Ministerstwa Bezpieczeństwa w Parku Łazienkowskim. Chociaż – jak się przyznaje w innym miejscu – szpiegował na rzecz organizacji bezpieczeństwa już wcześniej jako aktywista ZMP w Łodzi. Donosił wówczas osobnikowi posługującemu się kryptonimem „Zygmunt” (...)* (por. tamże, s. 18).

ZWIĄZKI MIĘDZY POSTKOMUNISTAMI A LIBERAŁAMI, WZAJEMNE PRZEPEŁYWY

Rodowody R. Kwiatkowskiego, J. Zaorskiego, kierownictwa „Gazety Wyborczej” czy historia klanu Wróblewskich dobrze ilustrują, kto dziś dominuje w najbardziej wpływowych polskich mediach. Zaznacza się przede wszystkim bardzo wyraźna symbioza dwóch dominujących tu grup: postkomunistów i lewicowych liberalistów (najczęściej z byłej lewicowej opozycji laickiej). Między tymi grupami, i to zarówno w mediach, jak i w polityce, wyraźnie zaznacza się ciągły przepływ i wzajemne przenikanie. Typowe pod tym względem były m.in. drogi Marcina Świącickiego – od sekretarza KC PZPR do prezydentury Warszawy z ramienia Unii Wolności do wiceprzewodniczącego SLD. Opisany powyżej Andrzej Krzysztof Wróblewski kolejno przechodził od kierownictwa

działu w komunistycznej „Polityce” do solidarnościowej opozycji, by znów powrócić już do postkomunistycznej „Polityki” w połowie lat 90. Oba środowiska: postkomunistów i lewicowych liberalistów łączy zbyt wiele wspólnego: przede wszystkim niechęć do Kościoła i nieufność do Narodu, do polskiego patriotyzmu, skłonność do zajadłego tropienia rzekomego polskiego „nacjonalizmu” i „antysemityzmu”, poparcie dla prywatyzacji polskiego majątku narodowego „za bezcen”, pokorna uniżoność wobec Unii Europejskiej, nie mówiąc o skrajnym filosemityzmie. Tragedią polskich mediów jest to, że są one tak gruntownie opanowane właśnie przez ludzi z obu powyższych środowisk. Dodajmy przy tym o tak szokującym współdziałaniu z powyższymi środowiskami ludzi z katolewicy, skupionych wokół „Tygodnika Powszechnego” czy „Więzi”. „Tygodnik Powszechny” stał się właściwie katolewicową przybudówką „Gazety Wyborczej”. Ludzie z „Tygodnika Powszechnego”, tacy jak były zastępca redaktora naczelnego tego czasopisma **Krzysztof Kozłowski**, gwałtownie przeciwstawiali się wszelkim pomysłom dekomunizacji czy lustracji. Dodajmy, że akurat **bratu K. Kozłowskiego – Maciejowi** zarzucono, że był „kłamcą lustracyjnym” jako wiceminister spraw zagranicznych. Sprawę przerwano ze względu na to, że w międzyczasie M. Kozłowski został ambasadorem polskim w Izraelu. Mamy zaś tak dziwne przepisy ustawy lustracyjnej, iż nie obowiązuje ona w odniesieniu do ambasadorów! Dość szczególnym przyczynkiem do nowych jakże znamienitych powiązań sił postkomunistycznych i liberalnych, w tym katolewicowych jest finansowe sponsorowanie przez postkomunistyczną „Politykę” czasopisma „Res Publica Nowa”, redagowanego przez członka redakcji „Tygodnika Powszechnego” **Marcina Króla**. Cóż, Marcin Król niejednokrotnie osobiście albo przez autorów swego czasopisma (Grynberg, Umińska *etc.*) dawał upust niebывалым wręcz wybrykom antypolonizmu i filosemickiego fanatyzmu. Znalazł więc w „Polityce” prawdziwie godnych siebie protektorów. Przypomnijmy, że w „Polityce” Marian Turski dopuścił się w zeszłym roku chwalby braci Bielskich, dowódców żydowsko-sowieckiej bandy zbrojnej, odpowiedzialnej za wymordowanie w 1943 roku mieszkańców całej polskiej wsi w Nalibokach (por. J.R. Nowak „Kogo muszą przeprosić Żydzi”, Warszawa 2001, s. 12-13).

Swoistym symbolem niebывалej symbiozy najbardziej nawet skompromitowanych ludzi z czerwonej „elitki” i postaci z „elitki” różowej był związek małżeński Grzegorza Jaszuckiego i Zofii Kuratowskiej. On – jeden z dziennikarskich skrybów najbardziej skompromitowanych swą reżimową służalczością w PRL-u, ona – jedna z czołowych współpracownic B. Geremka w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym, wicemarszałek Sejmu. Jaszucki więc tym chętniej, aż do groteski, afiszował się taką żoną. Przy każdej okazji, witając się, gromko przedstawiał się: *Jestem mężem Kuratowskiej* (wg K. Andrzejewskiej „Urban... byłem jego żoną...”, Gdańsk 1993, s. 97). Sylwetkę Jaszuckiego warto uzupełnić przypomnieniem, że w czasie wojny był policjantem żydowskim w getcie wileńskim. Jak wiemy, policja żydowska spełniała bardzo niegodną rolę wobec swoich rodaków. Po 1945 roku Jaszucki stał się głównym prasowym specjalistą od fałszowania spraw międzynarodowych. Wyróż-

niał się zwłaszcza skrajnie zajadłymi atakami na USA. Z jednej jego książek, już w tytule zapowiadającej, o co chodzi „Amerykańska odmiana faszyzmu” (Warszawa 1951) można było się np. dowiedzieć, że najaktywniejsi w upowszechnianiu faszyzmu w Stanach Zjednoczonych są bankierzy z Wall Street (!). Jaszuński był również autorem haniebnego wręcz pod względem ilości przekłamań paszkwilanckiego obrazu II Rzeczypospolitej („Z polityki niedostatecznie”, Warszawa 1964).

Z RODOWODU JERZEGO OWSIAKA

Przewaga liberalno-lewicowych mediów, popierających ofensywę antywartości, sprzyjała tworzeniu dość specyficznie wylansowanych idoli. I tak np. kosztem przemilczanej ogromnej pracy charytatywnej katolickiego Caritasu starano się maksymalnie wyeksponować jako największego specjalistę od dobroczynności Jerzego Owsiaka. Jego chwalcom nie przeszkadzało i to, że koszty darmowej reklamy dawanej przez telewizję i radio oraz inne media owsiakowej Wielkiej Orkiestrze wielokrotnie przewyższały pieniądze uzyskane przez nią ze zbiórek. Ani to, że zarówno zbiórki pieniężne, jak i sposób wydawania zbieranych przez Owsiaka pieniędzy nie miały żadnej należytej kontroli. W oczach lewicowych mediów Owsiak miał jedną ogromną „zaletę”, która przesłaniała wszystko inne: głosił i realizował ideologię maksymalnego „luzu”, zasadę „róbta, co chceta”. A poza tym milcząc o złach komunizmu przy różnych okazjach dawał do rozumienia, że siewcami zła są różni faszyzujący prawicowcy. W reputacji takiego idola nie przeszkadzały nawet jego przechwałkowe opowieści o tym, jak to kiedyś w szkole przebił nauczycielom opony w samochodach czy palił dzienniki szkolne, a jednak wyrósł na „wielkiego człowieka”. Lewicy tym mocniej podobały się przy tym różne wyraźne przejawy niechęci Owsiaka do Kościoła katolickiego, gniewne odrzucanie lokowania „Przystanku Jezus” w pobliżu jego „Przystanku Woodstock”, za to tym gorliwsze wspieranie „Hare Kriszny”. Dopiero niedawno, 31 stycznia 2004 r., Maja Narbutt ujawniła w „Rzeczpospolitej” fakt, że to *dom rodzinny zaszczerpił w nim, oględnie mówiąc, sporą rezerwę wobec Kościoła. Deklarujący się jako „niechodzący do kościoła katolik”, wychował się w ateistycznym środowisku – partyjny ojciec był wysoko postawionym milicjantem, niepartyjna matka była osobą niewierzącą* (podkr. – J.R.N.) I znów lewicowy rodowód u źródła!

Po czerwcu 1989 r. doszło do wyjątkowo silnego wzmocnienia lobby antypatriotycznego w mediach. Wiele pomogły tu zręczne manipulacje niektórych członków Komisji Likwidacyjnej RSW Prasa. Przeciwnicy polskiego patriotyzmu uzyskali po 1988 r. nowe bardzo wpływowe trybuny działania. Przede wszystkim kierowaną przez Michnika „Gazetę Wyborczą”. Trudno wręcz w pełni opisać szkody wyrządzone przez nią polskiej świadomości narodowej i Kościołowi. Dodajmy do tego rolę odgrywaną przez „Nie” Urbana w niszczeniu polskiej świadomości narodowej i lżeniu katolicyzmu oraz dalsze wzmocnienie po 1989 r. takich form partyjnych „Europejczyków” jak „Polity-

ka” i „Wprost” oraz ich otwarte, już bez maski występowanie przeciw Kościołowi i polskiemu patriotyzmowi. Z tym wszystkim wiązał się dokonany po cichu i nie zauważony przez ogromną część osób proces dogorywania i likwidacji po 1989 r. czasopism oficjalnie wydawanych, o bardziej narodowej opcji (w tym także niektórych czasopism PZPR-owskich w tym stylu). Padły między innymi „Życie Literackie”, „Przegląd Tygodniowy”, „Stolica”, krakowskie „Zdanie”, „Tygodnik Kulturalny”, „Kierunki”, „Tygodnik Demokratyczny”, „Kurier Polski”, „Słowo - Dziennik Katolicki”. „Przegląd Tygodniowy” wznowiono po kilku latach, ale już w rękach nienarodowej opcji, z tak eksponowanymi autorami jak KTT czy A. Małachowski. „Gazetę Krakowską”, która mimo że była organem partyjnym, zamieściła w 1989 r. artykuł prof. Borkackiego w obronie karmelitanek, przejęli później całkowicie ludzie z Unii Wolności, etc. Dodajmy do tego umacnianie się w polskich mediach obcych właścicieli, a w szczególności przejęcie bardzo dużej części polskiej prasy przez Niemców na Pomorzu i na Śląsku. Wszystko to razem zadecydowało o ogromnym umocnieniu antypatriotycznego lobby w polskich mediach.

KLANY W MSZ-CIE

Ministerstwo Spraw Zagranicznych roi się od ludzi ze znanych „czerwonych” klanów, synów lub córek osób niegdyś potwornie skompromitowanych swą targowicką agenturalną uległością. Symboliczną wprost pod względem postacią jest **Małgorzata Lavergne**, córka jednego z najbardziej polakożerczych stalinowców żydowskiego pochodzenia – **gen. Wiktora Grosza**, dyrektora departamentu prasowego MSZ w dobie stalinowskiej. Wiktor Grosz (Izaak Medres) po okupowaniu Lwowa przez Sowieców w 1939 roku stał się sekretarzem redakcji lwowskiej sowieckiej gadzinówki „Czerwonego Sztandaru”. Szczególnie wpływową i wyjątkowo brudną rolę Grosz odegrał w pierwszych latach sowietyzacji Polski, począwszy od 1944 roku. Przypomnijmy, że to właśnie Wiktor Grosz jako szef Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego w latach 1944-1945 inspirował najohydniejsze anty-AK-owskie plakaty w stylu: *AK – zapluty karzeł reakcji* i szkalował Powstanie Warszawskie. W broszurze „Na drogach powrotu” wydanej w 1945 roku głosił, że wybuch Powstania Warszawskiego spowodowała *egoistyczna awanturczość grupy bankrutów* i że to była chyba *największa zbrodnia sanacyjnej klikii*.

Córka tego targowiczana – Małgorzata Lavergne, „osobista znajoma p. Geremka” wróciła do Polski w 1991 roku po wieku latach pobytu w Berlinie Zachodnim. Już w rok później została dyrektorem departamentu polityki kulturalnej i naukowej MSZ. Zasłynęła nie tyle kompetencjami fachowymi, co zręcznością w organizowaniu dla siebie jak największej ilości wyjazdów zagranicznych. Świetny znawca kulisów MSZ-u Tadeusz Kosobudzki pisał w swej książce „MSZ od A do Z” (Warszawa 1997, s. 137): *W MSZ praktykowane były wycieczki pod pozorem służbowych delegacji. Korzystała z tego również Małgorzata Lavergne. Zlecała takie przygotowanie biletów lotniczych, żeby po*

drodze odwiedzać miasta, gdzie ma swoich najbliższych – siostrę czy przyjaciółkę. M. Lavergne nie lubiła latać przez Frankfurt. Więc pracownicy musieli szukać innych połączeń. To podnosiło koszty, ale było tolerowane. Przebywając w Japonii z okazji dni kultury polskiej, oprócz delegacji Ministerstwa Kultury i Sztuki, przedłużyła sobie pobyt o dwa tygodnie w ramach urlopu wypoczynkowego. **We wrześniu 1994 r. przebywała w Dubaju prowadząc negocjacje na temat wymiany kulturalnej z tymi emiratem. Dubaj słynie co prawda bardziej ze świetnie zaopatrzonych sklepów niż ze zdobyczy w dziedzinie kultury** (podkr. – J.R.N.). Doprawdy, trudno nie „podziwiać” takiej inwencji p. Lavergne w szukaniu kontaktów kulturalnych dla Polski! Rzecz znamienna, że pani ta „gorączkowo trudziła się” nawiązaniem wymiany kulturalnej w Dubaju w sytuacji, gdy brakowało pieniędzy na promocję polskiej kultury, choćby wśród setek tysięcy Polaków zamieszkałych na Litwie, Ukrainie, Białorusi czy w Rosji.

Na piękne, dobrze płatne posady zagraniczne niejednokrotnie wysyłano po 1989 roku, za niby „naszego rządu,” dzieci najbardziej skompromitowanych komunistycznych targowiczian. By przypomnieć choćby mianowanego w 1990 roku na dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu (przebywał tam w latach 1990-1995) **Jerzego W. Borejszę, syna** jednego z najgorszych antypolskich politruków, dyrektora prasy i wydawnictw w dobie stalinowskiej **Jerzego Borejszy (Goldberga)**. Przypomnijmy, że Jerzy Borejsza (senior), agent NKWD „wślawił się” swoimi donosami już w okupowanym przez Sowieców Lwowie po 17 września 1939 roku. Donosom zawdzięczał swój awans na dyrektora wydawnictwa Ossolineum, w którym przeprowadził bezwzględną komunistyczną czystkę. Wspominał o tym pisarz Aleksander Wat w „Moim wieku”, stwierdzając, że: *Borejsza objął Ossolineum i trochę profesorów wystął do mamra. Między innymi naczelnego dyrektora Ossolineum Lewaka.* Po aresztowaniu, „dzięki” J. Borejszy, profesor Lewak zaginął bez wieści. Borejsza – według informacji utrwalonej w tzw. Taśmach Ważyka – podobno przyczynił się również do aresztowania poety W. Broniewskiego przez Sowieców w 1940 r. Aleksander Wat wspominał również o zeznaniach Borejszy wymierzonych przeciwko niemu, mówiąc, że były one *takie, że powinni mnie byli od razu rozstrzelać według swoich enkawudowskich kryteriów.* W 1944 roku J. Borejsza został pierwszym cenzorem w tzw. Polsce Ludowej. Później korzystając ze wsparcia swego okrutnego braciszka Józefa Różańskiego (Goldberga), dyrektora Departamentu Śledczego w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego sowietyzował i terroryzował całą polską prasę i wydawnictwa. Jakże wymowne pod tym względem były oskarżycielskie zapiski na temat roli J. Borejszy zawarte w „Dziennikach” Marii Dąbrowskiej czy we wspomnieniach Moniki Żeromskiej, córki słynnego pisarza.

Powie ktoś, że Jerzy W. Borejsza junior nie może odpowiadać za winy swego ojca, stalinowskiego dyktatora prasy i wydawnictw, czy stryja – J. Różańskiego – kata Polaków. Na pewno nie musi za to odpowiadać, ale w nowym systemie powstałym po upadku komunizmu powinien zachować przynajmniej minimum przyzwoitości w ocenie przeszłości. Jak jednak ocenić

to, że on, naukowiec, historyk, pochodzący z rodziny, która tak ciężko zhańbiła się działaniami przeciw Polsce, konsekwentnie próbuje fałszczo wybielać komunistyczną przeszłość. **Zamiast uczciwego poparcia rozrachunku z tym wszystkim, co było najwstrętniejsze w komunistycznych zbrodniach J.W. Borejsza junior należy do historyków szczególnie zaangażowanych w pomniejszaniu tamtych zbrodni.** Ostro skrytykował go za to autor słynnej „Czarnej księgi komunizmu” Stephen Courtois.

Warto przy okazji dodać, że B. Geremek po zostaniu ministrem spraw zagranicznych wicedyrektorem swego Sekretariatu uczynił **żonę J.W. Borejszy Marię de Rosset-Borejsza.** Wszystko wciąż zamyka się w kręgach tych samych rodzin czy klanów.

Borejsza nie ma żadnych zahamowań w stronnictwo na rzecz różnych odmian lewicy. Kilka lat temu był swoistym „bohaterem” telewizyjnego skandalu. Zaproszeni na dyskusję do studia nie dopuścili do udziału w programie członków Młodzieży Wszechpolskiej, oskarżając ich o rzekome tendencje faszystowskie. Rozciągnęli czerwoną flagę i próbowali storpedować program. Red. R. Czejarek wezwał z tego powodu straż przemysłową, aby wyprowadzić osoby przeszkadzające w prowadzeniu programu. I wtedy otwarcie wyszła na jaw stronnictwo Borejszy, występującego w studiu w charakterze eksperta. Wyraźnie wystąpił po stronie awanturowujących się lewicowych „antyfaszystów”, grożąc opuszczeniem studia w przypadku ich wyprowadzenia. Najwyraźniej po ojcu i stryju odziedziczył dość szczególne poczucie obiektywizmu.

HAŃBA HENRYKA SZLAJFERA

W lutym 2000 roku stałym przedstawicielem RP przy Biurze Narodów Zjednoczonych i Organizacjach Międzynarodowych oraz stałym przedstawicielem – szefem misji RP przy OBWE w Wiedniu w randze ambasadora został **Henryk Szlajfer, syn byłego komunistycznego cenzora w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.** Henryk Szlajfer awansował na tak wysokie stanowisko z dużym opóźnieniem – wiele osób nie mogło mu zapomnieć haniebnego zachowania po marcu 1968 roku. Uwięziony wówczas jako główny kompan A. Michnika, całkowicie załamał się i potwornie sypał na kolegów podczas moczarskiego śledztwa. Jego zeznania ogromnie obciążły wiele uwięzionych osób z ruchu studenckiego. Część z nich potem nie chciała mu podawać ręki. Sam przyznawał po latach: *W lutym 1969 roku, gdy wychodziłem z więzienia, nie było mi jednak do śmiechu. Wychodziłem bowiem z piętnem tego, który zaprzedał się, wyraził skruchę i został za to odpowiednio wynagrodzony.* W końcu, jak widać, całkowicie wybaczone Szlajferowi jego haniebne załamanie z przeszłości. Jest przecież całkowicie pewny jako lewicowiec i „internacjonalista”, a zarazem zajadły tropiciel rzekomego „polskiego antysemityzmu” (ostatnio „zabłysnął” specjalną pozycją książkową na ten temat „Polacy Żydzi zderzenie stereotypów”, Warszawa 2003).

Wymienione tu przykłady ludzi o czerwonych rodowodach, czasem bardzo kompromitujących jak w przypadku córki Grosza czy syna Borejszy, to tylko swego rodzaju czubek góry lodowej. W latach 1996, 1997, 1999 na łamach „Naszej Polski” ukazały się trzy obszernie cykle Krzysztofa Góreckiego szeroko informujące o aktualnych dyrektorach do parlamentów, ambasadorach i konsulach. Lektura tych tekstów czasem była aż nadto monotonna. Wielokrotnie powtarzały się informacje, że omawiani luminarze MSZ czy dyplomaci to synowie agentów komunistycznej bezpieki czy pracowników wywiadu. Chodziło o dziesiątki nazwisk. I to najlepiej ilustruje skalę problemu, prawdziwe rozmiary zaśmiecienia naszej dyplomacji przez ludzi o czerwonych bezpieczniejszych rodowodach.

Krzysztof Górecki przypomniał również w „Naszej Polsce” z 18 lipca 1996 roku, że **dyplomatami w III RP są m.in. syn J. Czyrka, brat J. Oleksego, zięć M. Moczara (Maciej Krych), zięć M.F. Rakowskiego (Skotarek), osobisty sekretarz Gierka Janusz Skolimowski, syn Hilarego Minca** – jednego z czołowych stalinowców, członka Triumwiratu rządzącego Polską po 1948 roku. (Warto tu przypomnieć, że H. Minc w czasie swoich dyktatorskich rządów nad gospodarką polską w dobie stalinizmu bardzo starannie zadbał o rozwój karier członków swojej rodziny. Zbigniew Błażyński pisał w książce „Mówi Józef Światło” (Londyn 1985, s. 40), że jeden z braci H. Minca wyładował jako dyrektor Zakładu Nauk Ekonomicznych w PAN, inny brat dr Henryk Minc był reżimowym posłem w Budapeszcie, żona H. Minca - Julia była szefową PAP).

Dodajmy tu, że poza dominującymi dalej na placówkach ludźmi z różnych komunistycznych klanów, dzięki Skubiszewskiemu, Geremkowi i Bartoszewskiemu znalazło się tam również niemało osób różnych „famili” z liberalnej, katolewicowej i lewicowej opozycji. Oto niektóre z jakże licznych przykładów nominacji tego typu. Jako wręcz „stworzony do dyplomacji” potraktowano spokrewniony z ministrem Skubiszewskim ród Komorowskich. Ambasadorem RP w Holandii został **Stanisław Komorowski**. Inny Komorowski – **Zygmunt**, etnograf z zawodu, został ambasadorem w Bukareszcie. Spowinowacony z Komorowskimi **Jan Dowgiałło** został z kolei ambasadorem w Izraelu. Skubiszewski nie zapomniał też o specjalnym wyróżnieniu jednej aktorki – **Marii Komorowskiej** nagrodą ministra spraw zagranicznych za propagowanie kultury polskiej za granicą.

Zaskakiwały rozmiary promowania osób z najbliższych układów personalnych, zwłaszcza spokrewnionych z różnymi prominentnymi „autorytetami”. Trudno byłoby wręcz wyjaśnić niespodziewaną karierę dyplomatyczną krytyka filmowego **Bronisława Michałka**, gdyby nie jeden jego „nadzwyczajny atut” – był szwagrem samego premiera Tadeusza Mazowieckiego (!). To wystarczyło dla przykrycia tak podstawowego faktu, że Michałek nijak nie był przygotowany merytorycznie do pracy w roli ambasadora RP w Rzymie, nie mając pojęcia o dyplomacji, polityce czy gospodarce (a został ambasadorem we Włoszech, kraju będącym jednym z czołowych partnerów gospodarczych Polski). Dla promujących go na to stanowisko „Europejczyków” szwagier

Mazowieckiego miał jeszcze jedną wielką „zaletę”. Przez lata jako krytyk filmowy popierał jak najskrajniejsze rozrachunki z polskimi powstaniem narodowymi i atakował obrońców naszych dziejów. Z oburzeniem zareagował kiedyś na te antypatriotyczne wywody H. Michałka znany węgierski eseista Sándor Fekete, broniąc przed polskim krytykiem filmowym (!) polskiej historii (por. tekst S. Fekete w moim wyborze węgierskiego eseju pt. „Węgierskie wyznania”, Warszawa 1979). Można sobie aż nadto dobrze wyobrazić jak zajadły krytyk polskiej historii typu Michałka mógł reprezentować współczesne narodowe interesy Polski! Tym lepiej za to dbał o promowanie na służbie dyplomatycznej w Rzymie ludzi z „zasłużonych” rodzin różnych „Europejczyków”. W charakterze radcy – ministra pełnomocnego zatrudnił **kuzyna Piotra Nowiny-Konopki**, a w charakterze radcy córkę J. Turowicza **Elżbietę Jogallo**. Nie zapomniał o odpowiednim uhonorowaniu E. Jogallo jako córki swego redakcyjnego szefa Turowicza także i Władysław Bartoszewski jako minister spraw zagranicznych. W 1995 roku, po pięciu latach pobytu E. Jogallo w Rzymie, wbrew przyjętym zasadom obsadzania stanowisk na zasadzie konkursu, mianował ją na dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Rzymie, czyli minimum na dalsze cztery lata (por. T. Kosobudzki „MSZ od A do Z”, *op.cit.*, s. 155).

POSŁOWIE

Aby lepiej zrozumieć jak potrzebne jest dziś odślanianie nieznanych lub przemilczanych rodowodów różnych wpływowych postaci z rządzących nami pseudoelit, trzeba tu podkreślić, że ta niewiedza i przemilczenia są czymś jakże przeciwnym tradycjom z polskiej przeszłości. W XVIII i XIX wieku sprawy rodowodów wszystkich aktywnych uczestników życia publicznego były powszechnie znane dla każdego – w końcu ówczesna elita była stosunkowo nieliczna i składała się głównie z osób pochodzących z różnych rodów magnackich i szlacheckich. Jedni mogli się więc z dumą obnosić wielkimi patriotycznymi zasługami swych rodów, od Czartoryskich po Zamoyskich i Platerów. Inni musieli nieraz odczuwać wielkie zawstydzenie z powodu działań swych ojców czy wplątywali się na tym tle w ciężkie konflikty moralne, tak jak wielki poeta Zygmunt Krasiński, płacący wciąż za grzechy ojca – Wincentego, rosyjskiego szlachca. Ksawery Branicki, wnuk targowiczanina, hetmana wielkiego koronnego, całe życie poświęcił na czynienie rzeczy wręcz przeciwnych zaprzaństwu swego dziada. Mieszał się w sprawy patriotyczne i rewolucyjne, finansował mickiewiczowską „Tribune des peuples”; nie było ważniejszej polskiej sprawy emigracyjnej, której by nie wspomógł własnymi pieniędzmi. I taki typ reakcji na grzechy swoich przodków wydaje się być szczególnie sympatyczny, dowodząc, że wiedza o niezbyt ciekawej rodowej przeszłości może być czynnikiem dopingującym do tym intensywniejszej działalności w służbie dla Narodu.

Tak bywało kiedyś. W ostatnich dziesięcioleciach jednak obserwujemy najczęściej zupełnie inny typ reakcji na niezbyt ciekawą przeszłość swych

rodziców, którzy z fanatyzmu, wyrachowania czy dla zysku współpracowali z komunistami. Jakże często zamiast jawności życiorysów i rodowodów mamy ich staranne przemilczanie. Co więcej obrona przemilczeń o przestępstwach swych ojców czy braci, oprawców, donosicieli lub kolaborantów z NKWD popychała wielu do lansowania na każdym kroku polityki „grubej kreski”. Każdego, kto próbował odsłaniać prawdę i przeszłości niektórych dzisiejszych luminarzy czy ich pociotków atakowano zaraz zarzutami, że jest wyznawcą „zoologicznego antykomunizmu”, rzecznikiem „krwiożerczego” odwetu *etc.*

Polityka „grubej kreski” umożliwiła ukrycie prostej prawdy o tym, w jak wielkim stopniu „nasza” elita po 1989 roku była w istocie również „ich” elitą, ze względu na komunistyczne rodowody bardzo dużej części nowych beneficjentów władzy. Rodowody, które najczęściej miały bardzo określone skutki, głównie dążność do jak najszybszego zahamowania rozliczeń z komunizmem. Zrozumiałe, wszak budowali go z zapalem ojcowie, matki, bracia i siostry „nowych” uczestników władzy, a często i oni sami.

Szczególnie oburzające są zaś jakże często niestety fakty, że najbardziej zajadłymi oskarżycielami polskości i Kościoła są ludzie, którzy właściwie całym swym życiem powinni naprawiać szkody wyrządzone Polsce przez ich ojców. Tak jak dzisiejszy stachanowiec antypolonizmu Dawid Warszawski (Gebert), syn sowieckiego agenta, który tak plugawie działał przeciwko Polsce w okresie jej największych zagrożeń. W czasie sowieckiego najazdu na Warszawę w 1920 roku czy po okupowaniu wielkiej części Polski przez Sowietów po 17 września 1939 roku. Czas przypomnieć ludziom tego typu jak D. Warszawski, że powinni mieć choć odrobinę zwykłego wstydu za tak zdradzieckich antypolskich ojców, zamiast haniebnego kontynuowania ich antypolonizmu, tyle że w nowych, bardziej wyrafinowanych formach.

NOTA BIOGRAFICZNA

Jerzy Robert Nowak, historyk (profesor wyższej uczelni) i publicysta, autor ponad 30 książek i ponad ośmiuset artykułów. Jako świetny znawca problematyki węgierskiej (należy do nielicznych cudzoziemców mianowanych za zasługi dla kultury węgierskiej nadzwyczajnym członkiem Węgierskiego Związku Pisarzy) zrobił ogromnie wiele dla upowszechnienia wiedzy o nadunajskich „bratankach”. Wydał m.in. książkę o dziejach stosunków polsko-węgierskich „Węgry bliskie i nieznane”, „Węgry 1939-1973”, książkę o Powstaniu Węgierskim, „Historię literatury węgierskiej XX wieku”, dwa wybory węgierskiego eseju, wybór poezji największego węgierskiego poety XX w. – Endre Adyego. Jego teksty odsłaniające kulisy węgierskiej historii po 1945 r. nieraz były wstrzymywane przez cenzurę, a wydanie 600-stronicowej książki o węgierskim stalinizmie zostało zablokowane w 1975 r. przez „czujnych” partyjnych recenzentów.

Po 1989 r. prof. J.R. Nowak odegrał ogromną rolę w ukazywaniu zagrożeń antypolonizmu i przełamywaniu tabu wokół problematyki żydowskiej. Szczególnie duże zainteresowanie wzbudziły dwa kolejne cykle publicystyczne o stosunkach polsko-żydowskich: „Przemilczane świadectwa” (47 artykułów na łamach „Słowa-Dziennika Katolickiego”) i 30 dwukolumnowych artykułów „Za co Żydzi muszą przeprosić Polaków” w „Naszej Polsce”. W 1999 r. ukazała się jego pionierska książka „Przemilczane zbrodnie”, przerywająca długotrwałe milczenie o zbrodniach popełnionych przez z bolszewizowanych Żydów na ich polskich sąsiadach. W 2001 r. prawdziwym bestsellerem stała się jego książka „100 kłamstw J.T. Grossa”.

Nader cennym źródłem wiedzy o obrazie Polski i Polaków w świecie stały się dwa kolejne wydania książki J.R. Nowaka „Myśli o Polsce i Polakach”. Jego dwutomowe „Zagrożenia dla Polski i polskości” stały się prawdziwym bestsellerem 1998 r., podobnie jak wydany rok później „Czarny leksykon” (demaskatorski obraz ludzi z polskich pseudoelit. Wielkim zainteresowaniem cieszyły się również jego książki: „Kościół a Rewolucja Francuska”, „Walka z Kościołem wczoraj i dziś”, „Spory o historię i współczesność” (ponad 650-stronicowy wybór dorobku publicystycznego) i „Czarna legenda dziejów Polski”, demaskująca rozliczne dzisiejsze próby zafalszowywania polskiej historii.

Prof. J.R. Nowak robi szczególnie wiele dla budowania mostów między Krajem a Polonią. Na zaproszenie Prezesa KPA Edwarda Moskala wygłosił referat o antypolonizmie na posiedzeniu Rady Dyrektorów KPA. Miał blisko 300 audycji w polonijnych radiostacjach USA i Kanady. Od dłuższego czasu bierze stały udział (dwa razy w tygodniu) w programach Wojciecha Wierzewskiego w polonijnym radiu w Chicago (uważany jest za najlepszego komentatora z Polski).

SPIS TREŚCI

Wstęp	3
I. <i>Dynastie w polityce</i>	5
Borowski, syn wysokiego funkcjonariusza z antypolskiej KPP	5
Spuścizna stalinowskiego politruka J. Wiatra	7
Syn agenta gestapo	9
Kariera młodego Wiatra	10
Od KC PZPR do prounijnego wazeliniarstwa	10
W. Cimoszewicz (syn oficera stalinowskiej informacji)	13
Alergia na polskość	15
Longin Pastusiak (zięć byłego przywódcy PZPR)	17
Marcin Święcicki (zięć byłego członka Biura Politycznego KC PZPR)	19
Jan Rutkiewicz (pasierb sekretarza KC PZPR)	21
Kariera premierowicza L. Millera (juniora)	23
Czy grozi nam dynastia Kwaśniewskich?	24
Dynastia kłamczuchów	24
Z koronowanymi głowami za pan brat	25
Dynastyczna zapobiegliwość	26
Kreowanie się na „świętą Jolantę”	27
II. Klany w mediach	28
Robert Kwiatkowski (syn prominenta z czasów Jaruzelskiego)	28
Janusz Zaorski, syn PRL-owskiego wiceministra	31
„Jadowita” Olejnik, córka pułkownika MSW	34
Załgany rodowód Adama Michnika	35
Brat – morderca sądowy	36
Hańba domowa	38
Inni współpracownicy Michnika	39
Gebertowie: od agenta Kominternu do fanatycznego tropiciela polskiego antysemityzmu”	41
Szpiegowany przez własną żonę	43
Antypolonizm Dawida Warszawskiego	44
Smolarowie	45
Klan Wróblewskich	48
Kariera Tomasza Wróblewskiego	51
Rodowód J. Urbana	53
Związki między postkomunistami a liberałami, wzajemne przepływy	54
Z rodowodu Jerzego Owsiaaka	56
Klany w MSZ-cie	57
Hańba Henryka Szlajfera	59
Posłowie	61
Nota biograficzna	63